

Terytorium Komanczów

Arturo Perez-Reverte



calibre 0.9.27

ARTURO PEREZ - REVERTE
TERYTORIUM KOMANCZÓW

(Przełożyła: Joanna Karasek)

Dla Jose Luisa Marqueza

Prawdziwa opowieść o wojnie zawsze jest niemoralna.

*Nie uczy, nie zachęca do cnoty ani nie podsuwa wzorów do
naśladowania, nie przeszkadza ludziom, by robili to samo,
no robili zawsze. Jeśli jakaś opowieść wojenna wydaje się*

moralna nie wierzcie w nią.

Tim O'Brian, O rzeczach posiadanych przez ludzi,

którzy walczyli

I. MOST W BIJELO POLJE

Kłęcząc w rowie, Marquez nastawił ostrość na nos zabitego, a potem przeszedł do planu ogólnego. Prawe oko miał przyklepione do wizjera kamery, a lewe przymknięte, otaczały go kłęby dymu z papierosa, którego trzymał w kąci ust. Zawsze kiedy tylko było to możliwe, Marquez zaczynał ujęcie od czegoś nieruchomego i przechodził do planu ogólnego - a ten zabity był zupełnie nieruchomy. Naprawdę to nie ma niczego równie nieruchomego jak zabici. Kiedy filmował zabitego, zawsze nastawiał ostrość na nos. Taki miał zwyczaj, bo każdy ma jakiś zwyczaj, tak samo jak charakteryzatorka w studiu zawsze zaczyna makijaż od tej samej brwi. W Torrespaña* słynne były ujęcia Marqueza - montażyści, znani z tego, że są milczący i cyniczni jak stare dziwki, wołali się nawzajem, żeby obejrzeć je w kabinie montażowej. Musisz to zobaczyć, stary! Razem z nimi stażyści wydający wiadomości bledli w milczeniu. Zabici nie zawsze mają nosy.

Ten miał nos i Barles przestał obserwować Marqueza, i znów spojrzał na zabitego. Leżał twarzą do góry w przydrożnym rowie, jakieś pięćdziesiąt metrów od mostu. Nie widzieli, jak zginął, kiedy przyjechali, już tam leżał; oceniali, że mogło się to stać jakieś trzy, cztery godziny wcześniej: pewnie zabił go pocisk któregoś z moździerzy, strzelających od czasu do czasu zza rzeki, spoza zakrętu drogi i drzew, wśród których płonęło Bijelo Polje. Był to młody Chorwat z sił HVO, jasnowłosy, wysoki, z oczami ani otwartymi, ani zamkniętymi, którego twarz i mundur, pokryte białym pyłem, upodobniły się do otoczenia. Kiedy spada bomba, zawsze podnosi się kurz i jesteś cały pokryty pyłem, bo kiedy leżysz zabity, nikt już się nie troszczy, żeby cię z niego otrzepać. Bomby unoszą pył i żwir, i odłamki, zabijają cię, a potem leżysz jak ten chorwacki żołnierz, opuszczony i samotny, w przydrożnym rowie niedaleko mostu w Bijelo Polje. Bo zabici poza tym, że są nieruchomi, są jeszcze samotni. Nie ma nic równie samotnego jak zabity. O tym wszystkim myślał Barles, kiedy Marquez kończył ujęcie.

Przeszedł kilka kroków drogą w kierunku mostu. Krajobraz byłby przyjemny, gdyby nie płonące dachy pośród drzew po drugiej stronie rzeki i czarny dym snujący się między niebem a ziemią. Z tej strony rzeki skarpa sięgała aż do brzegu lasu, po lewej widać było podtopione pola i drogę, która skręcała sto metrów dalej przy zagrodzie, gdzie stał ich nissan. Most miał starą metalową konstrukcję, cudem nietkniętą przez trzy lata wojny - wielkie stalowe łuki podtrzymywały kładkę. Barlesowi przypominał podobny most, tyle że aluminiowy, który miał jako dziecko w komplecie kolejki elektrycznej.

Całe rano przechodzili przez most uchodźcy uciekający przed muzułmańską ofensywą na Bijelo Polje: najpierw jechały samochody załadowane ludźmi z walizkami i tobołkami, potem wozy konne, wiozące brudne i przestraszone dzieci; na końcu, za ostatnimi cywilami uciekającymi pieszo, szli zmęczeni żołnierze, o nieobecnym zagubionym spojrzeniu, którym było już wszystko jedno, czy idą naprzód, czy się cofają. Wreszcie ostatnia grupa: trzech czy

* Siedziba Telewizji Hiszpańskiej (przyp. tłum.).

czterech biegnących, z sił HVO. Potem jeszcze jeden, podtrzymujący kulejącego rannego. Za nimi

samotny mężczyzna, zapewne oficer, który poobrywał sobie dystynkcje, trzymający kałasznikowa i dwa puste magazynki w lewej ręce. Marquez nakręcił ich wszystkich, jak przechodzili; kiedy oficer zobaczył nalepkę TVE na kamerze, zbluzgał go po chorwacka- *Ti-Vi-Ei jebenti mater*, czyli - w luźnym tłumaczeniu - pieprzyć kurwę twoją mać. Na północy Bośni żołnierze HVO już nie podnosili palców na znak V ani nie poklepywali po plecach kamerzystów telewizyjnych. Tak bywało dawno temu, w czasach Vukovaru i Osijeka, kiedy Chorwaci jeszcze byli bohaterami pozytywnymi, ofiarami napaści, a Serbowie jedynymi szwarczarakterami. Teraz wszyscy okazali się mniej lub bardziej ubłoceni - po obu stronach odkopywano zbiorowe groby i wszyscy mieli sporo spraw do ukrycia. *Jebenti mater* czy *jebenti maiku* - obie wersje różniły się tylko tym, kto wspomina twoją matkę. W miarę jak wojny przedłużają się, a ludziom zaczynają gnić dusze, dziennikarze stają się coraz mniej mile widziani. Z kogoś, kto pokazuje cię w telewizji dziewczynie i znajomym, zmieniasz się w niewygodnego świadka. *Jebenti mater*.

Barles zatrzymał się dwadzieścia metrów przed mostem: bezpieczna odległość, z której mógł dostrzec skrzynki materiału wybuchowego przyklepione do filarów i butle z butanem, mające wzmocnić siłę eksplozji. Kable detonacyjne opadały po skarpie aż do granicy lasu, w którym ukryli się saperzy HVO po umieszczeniu ładunków na moście. Nie widział ich, ale na pewno tam byli, oczekując najlepszego momentu, żeby go wysadzić. "W sztabie głównym w Cerno Polje, mimo niechęci do słowa "wycofywanie", pewien kapitan wyjaśnił Barlesowi sprawę podstawową:

- Przede wszystkim nie przechodźcie przez most. Ryzykujecie pozostaniem na drugim brzegu.

Takie miejsca jak to w slangu zawodowym nazywane są terytorium Komanczów. Dla korespondenta wojennego to jest właśnie to miejsce, gdzie instynkt każe zatrzymać samochód i zawrócić. Drogi są tam puste, a domy obrócone w osmalone ruiny, i zawsze wygląda tak, jakby zaraz miał zapaść zmrok; idziesz przyklejony do muru, w kierunku padających w oddali strzałów i słyszysz chrzęst swoich kroków na potłuczonym szkłe. Na wojnie ziemia zawsze pokryta jest potłuczonym szkłem. Terytorium Komanczów to jest to miejsce, gdzie słyszysz, jak szkło trzeszczy pod butami, i choć nikogo nie widzisz, wiesz, że jesteś obserwowany. To tam, gdzie nie widzisz luf, ale lufy widzą ciebie.

Barles znów popatrzył na drugą stronę rzeki, na drzewa zasłaniające Bijelo Polje, i zaczął się zastanawiać, jakim rodzajem celu jest właśnie w tej chwili i dla kogo. Jak tylko pojawią się na zakręcie żołnierze Armii i pierwszy czołg, saperzy w lesie przycisną dźwignię detonatora i rzucą się do ucieczki. Chodzi o to, sądził, żeby utrzymać most do ostatniej chwili, gdyby któryś z sukinsynów walczących we wsi dotarł do rzeki. Słysząc było wystrzały pocisków dobiegające pomiędzy płonących dachów. Przez moment wyobrażał sobie, jak rozbijają we wsi gliniane ściany, żeby przebiec z jednego domu do drugiego, dźwigając rannych, którzy pozostawiają za sobą ślady krwi na pokruszonym gipsie i gruzach na ziemi, oszalali ze strachu i rozpacz. Według informacji SONY ICF na falach krótkich i według BBC w jednej z sąsiednich wiosek Armija odkryła zbiorowy grób z pięćdziesięcioma dwoma zmasakrowanymi ciałami Muzułmanów. A kiedy ułoży się pięćdziesiąt dwa ciała w szeregu, to jest to bardzo długi szereg. Na dodatek mają rodziny: dzieci, braci, kuzynów. Są ludzie, którzy za nimi tęsknią i kiedy widzą ich świeżo odkopanych, jednego przy drugim, źle to

przyjmują. W Bijelo Polje nie marnowano czasu na branie jeńców. Barles zaśmiał się krótko, cierpko, ponuro do siebie samego. I jeśli nazywa się to czystką etniczną, trzeba nie rozumieć sensu słów. Czystka etniczna może mieć wiele cech, ale na pewno nie jest czysta.

Usłyszał wystrzał z moździerza kalibru 60 mm umieszczonego na obrzeżach wsi, w odległości kilometra od mostu, i rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się schować. Miał około dwudziestu sekund do wybuchu, jeśli pocisk leciał w ich kierunku, postanowił więc zapomnieć o kewlarowym hełmie leżącym na ziemi zbyt daleko, obok Marqueza. Podeszedł bez pośpiechu do skarpy i położył się twarzą do ziemi, patrząc na kolegę, który choć nadal klęczał przy zabitym, też usłyszał moździerz i patrzył na niebo, jakby spodziewał się, że zobaczy, jak nadlatuje pocisk.

Przez wiele lat jeździli razem na różne wojny i Barles doskonale wiedział, o czym myśli kamerzysta. Bardzo trudno jest sfilmować wybuch bomby, bo nigdy dokładnie nie wiadomo, gdzie ona spadnie. Na wojnach bomby spadają jak chcą, a prawa prawdopodobieństwa sumują się z prawami balistyki. Nie ma rzeczy bardziej kapryśnej niż pocisk przypadkowo wystrzelony z moździerza, i można całe życie filmować rozmaite bombardowania i nie zrobić ani jednego porządnego ujęcia wybuchu. Tak samo z żołnierzami podczas walki - nigdy nie wiesz, którego trafią, i jeśli sfilmujesz taki moment, zawsze jest to czysty przypadek, tak jak udało się to Enrique del Viso w Bejrucie w osiemdziesiątym dziewiątym. Filmował grupę szyitów, niespodziewanie ostrzelanych ogniem z broni automatycznej, no i - bingo! Później na stop-klatkach można było zobaczyć pomarańczowe punkty, partyzanta z Amalu* z nagłym skurczem twarzy podnoszącego dłoń do piersi i równocześnie wypuszczającego broń, wykrzywioną twarz Barlesa i jego usta otwarte w krzyku: filmuj, filmuj! Ludziom się wydaje, że człowiek przyjeżdża na wojnę, od razu kręci takie zdjęcia, i gotowe. Ale kule i bomby robią bang-zaka-bum i nikt nie wie, gdzie polecą. Barles widział, jak Marquez nadal klęcząc, zarzucił na ramię kamerę i znów filmował zabitego. Jeśli pocisk moździerza padnie blisko, szybkim ruchem kamery przejdzie z jego twarzy na słup dymu i kurzu po wybuchu, zanim się on rozwieje. Barles miał nadzieję, że przynajmniej jedna ścieżka dźwiękowa została przedstawiona na ręczną manipulację. Jeśli jest nastawiona na automat, filtr wycisza odgłosy strzałów i eksplozji bomb, które potem brzmią fałszywie, jakby przytłumione, tak jak w kinie.

* Amal - polityczno-wojskowa organizacja libańskich szyitów (przyp. red.).

Pocisk moździerzowy upadł daleko, na granicy lasu, a Barles uśmiechnął się w duchu, wyobrażając sobie przerażenie chorwackich saperów. Marquez nie poruszył się podczas wybuchu, drgnął jedynie na obiektywie pierścień ostrości, gubiącej się teraz w przestrzeni. Podniósł się powoli i podeszedł do miejsca, gdzie nadal leżał

Barles. Kiedyś w Sarajewie, gdy Miguel de la Fuente robił to samo, co teraz Marquez, to znaczy polował na wybuch, spadł na niego odłamek pocisku z serbskiego moździerza. Odłamek i żwir, i asfalt z połowy ulicy. Uratowała go kuloodporna kamizelka i hełm, a kiedy schylił się, żeby podnieść kawałek odłamka na pamiątkę tego, że był tak blisko wybuchu, metal oparzył mu rękę. W najgorszych czasach w Sarajewie to się nazywało shop-ping. Zakładali hełmy i kamizelki, przywierali do muru na ulicy starego miasta i słuchali, skąd nadlatują kule i pociski. Kiedy coś spadało blisko, biegli i filmowali dym, płomienie, gruzy. Ochotników wydobywających ofiary.

Marquez nie lubił, jak Barles pomagał ekipom ratunkowym, bo włąził w kadr i psuł całe ujęcie.

- Było zostać pielęgniarką, kretynie!

Marquezowi łzy nie pozwalały dobrze złapać ostrości, dlatego nigdy nie płakał, kiedy spod gruzów wyciągano dzieci ze zmiażdżonymi głowami, chociaż potem przez długie godziny siedział w kącie, nie otwierając ust. Paco Custodio owszem, popłakał się pewnego razu w kostnicy w Sarajewie, któregoś z tych dni, kiedy zdarzało się po dwudziestu, trzydziestu zabitych i przeszło pół setki rannych; nagle odłożył kamerę i zaczął płakać, choć przez ponad miesiąc znosił to bez mrugnienia okiem. Potem wrócił do Madrytu, a na jego miejsce przyjechał inny kamerzysta, który po pierwszym dziecku zmasakrowanym przez móżdziej upił się i stwierdził, że jest mu wszystko jedno. No i Miguel de la Fuente tak samo trzymał swój betacam na ramieniu, kiedy spadł na niego żwir i odłamek podczas *shoppingu* w Dobrinji, to jest w takiej dzielnicy Sarajewa, gdzie strzelano do ciebie bez przerwy i ze wszystkich stron i gdzie ściany budynków w najlepszym stanie mierzyły najwyżej półtora metra. Miguel był twardym facetem, tak samo jak Custodio i tak samo jak twardzi byli Josemi Diaz Gil w Kuwejcie, Salwadorze i Bukareszcie albo Del Viso w Bejrucie, Kabulu, Chorranszahr i Managui. Wszyscy to byli twardzi faceci, ale Marquez był z nich najtwardszy. Barles tak myślał, patrząc, jak do niego podchodzi, kulejąc. Marquez kulał od piętnastu lat, od czasu, kiedy idąc z Miguelem de la Cuadra pewnej bezksiężycowej nocy spadł w przepaść razem z dwoma Erytrejczykami, niedaleko Asmary. Obydwaj partyzanci zginęli, a on przez pół roku leżał sparaliżowany w szpitalu, z kręgosłupem przerobionym na grzechotkę, nie ruszając nogami i robiąc pod siebie w spodnie piżamy. Wyszedł z tego - choć nikt już nie dawał za niego złamanego grosza - tylko dzięki sile woli i energii życiowej. Teraz, zawsze kiedy się pojawiał w redakcji, ludzie odsuwali się i patrzyli na niego w milczeniu. Marquez nie tylko jeździł na wojnę. Jego zdjęcia to była wojna.

- Zmarnowała mi się bomba.

- Widziałem.

- Za daleko spadła.

- Lepiej za daleko niż za blisko.

To jedna z zasad zawodowych, podobnie jak ta, że lepiej, jeżeli trafi w ciebie niż we mnie. Marquez powoli kiwał głową. Odwieczny dylemat na terytorium Komanczów polega na tym, że jeśli jesteś zbyt daleko, nie wychodzą ci zdjęcia, a jeśli jesteś zbyt blisko, tracisz zdrowie i życie i nie możesz o tym opowiedzieć. Najgorsze w robieniu *shoppingu* pod ogniem móżdziejy jest nie to, że pociski spadną za blisko, ale że trafią prosto w ciebie. Marquez położył kamerę na ziemi i patrzył na most zmrużonymi oczyma. Wkurzał się, gdy Barles albo inni włązili mu w kadr, kiedy filmował zabite dzieci między gruzami, choć czasem, kiedy już nie wytrzymał, odkładał kamerę i też brał się do odrzucania gruzów - ale dopiero wtedy, gdy miał dość zdjęć na półtoraminutowy materiał do wiadomości. Marquez był niskim i żylastym blondynem o jasnych oczach, dziewczyny uważały, że jest atrakcyjny. Byli tacy, co mówili, że przeleciał Ninę Rodicio podczas bombardowania Bagdadu,

ale to bzdura. Podczas bombardowania, gdyby tylko miał kamerę pod ręką, Marquez nie szepnąłby jednego czulego słówka nawet Orianie Fallaci w jej najlepszych czasach

Meksyku, Sajgonu i tak dalej. A Nina Rodicio bynajmniej nie jest Orianą Fallaci.

- Chcę mieć ten most - powiedział Marquez swoim chrapliwym głosem, brzmiącym jak stara kołatka.

Obydwaj chcieli go mieć, ale on przede wszystkim. Dlatego właśnie siedzieli tutaj, zamiast uciekać razem ze wszystkimi, mimo że już się robiło późno: zostały niecałe trzy godziny do drugiego wydania wiadomości, a trzeba jeszcze liczyć pięćdziesiąt minut na jazdę złymi drogami do miejsca, skąd nadawali. Ale Marquez bardzo chciał mieć ten most i był człowiekiem upartym. Prawie nigdy nie zakładał kamizelki kuloodpornej ani hełmu, bo przeszkadzały mu w pracy z kamerą. Codziennie mieli awantury na ten temat.

- Nie żeby mi jakoś specjalnie zależało - mawiał Barles - ale jak cię trafią, zostanę bez kamerzysty.

W ramach zemsty Marquez kazał stawać mu podczas kręcenia materiałów w miejscach trudnych, gdzie nie można się skoncentrować, kiedy trzeba mówić do mikrofonu, bo bardziej uważasz na to, co się dzieje, niż na to, co chcesz powiedzieć. Jesteśmy właśnie w... bang-bang. Poczekaj, zacznę od początku. Jesteśmy tutaj. No popatrz, teraz to sukinsyny nie strzelają. Jesteśmy w... bang-bang. Udało się? Trzy lata wcześniej, w Borovo Naseije, Marquez trzymał go przez pięć minut bez żadnej osłony w odległości stu metrów od serbskich linii, każąc mu trzykrotnie powtarzać nagranie, które, swoją drogą, już przy pierwszym podejściu było całkiem udane. Jadranka, chorwacka tłumaczka, zrobiła im wtedy zdjęcie: na drodze pełno gruzu, wypatroszony serbski czołg w tle, Barles krzyczy ze wściekłą miną, a obok niego Marquez, z kamerą na ramieniu, pęka ze śmiechu. Mimo wszystko lubili razem pracować. Obydwaj lubili żyć w ten sposób, łączyło ich wspólne poczucie humoru - szyderczego, szorstkiego i cierpkiego.

Materiały... Problem telewizji polega na tym, że nie da się opowiadać o wojnie z pokoju hotelowego, ale trzeba jechać tam, gdzie coś się dzieje. Przyjeżdżasz, stajesz przed kamerą w planie półpełnym, a powietrze po twojej prawej ręce zaczyna drgać. Kiedy strzelają, słychać raas-zaka-bum-bum i materiały wyglądają znakomicie, często jednak są do niczego z powodu hałasu. A kiedy w trakcie nagrania wymknie ci się jakieś przekleństwo, to znaczy kiedy mówisz na przykład: Tego ranka pogorszyła się sytuacja w okolicy miejscowości Vitez, a w pobliżu słyszysz grzmotnięcie, raaka-bum, to zamiast: w okolicy miejscowości Vitez, mówisz: w okolicy szlag by to jasny, kurwa mać; wtedy też materiał się nie nadaje i trzeba powtarzać. Innym razem nagle czujesz w głowie pustkę, gapisz się w obiektyw jak głupek, niezdolny wydusić z siebie słowa, bo kiedy masz się odezwać, wymazuje ci się cała pamięć, jakby ci właśnie sformatowano twardy dysk. A potem trafiasz na tyły albo do Madrytu, i zawsze się znajdzie jakiś dureń, który spyta, czy te strzały były prawdziwe, i sam nie wiesz, czy traktować to jako żart, czy zdzielić faceta w pysk. Kiedyś Miguel Gonzalez z dziennika "El Pafs" opowiadał przy Marquezie, jakoby słyszał z pewnego źródła, że Barles płaci żołnierzom, by strzelali podczas nagrywania jego materiałów, jakby na wojnie trzeba było komuś płacić za to, że

strzela. Ponieważ Miguel Gonzalez należy do ludzi, którzy na wojnach bywają z rzadka, nie wiedział, że Marquez najczęściej pracuje z Barlesem; przy tej okazji najdelikatniejsze z określeń, które można było usłyszeć, brzmiało: skretyniały palant, czy jakoś podobnie. Płacimy też rannym, żeby pozwolili się postrzelić, a zabitym, żeby pozwolili się zabić, powiedział mu Marquez. Kartą American Express. To znaczy pocałuj mnie w dupę. Idź w cholere!

W byłej Jugosławii pełno było obiboków. Hiszpanie z niebieskich hełmów znani byli jako "Japończycy", bo przyjeżdżali, robili sobie zdjęcia i odjeżdżali najszybciej jak mogli. Przez Bośnię przewijało się towarzystwo przeróżnych rodzajów i odcieni: parlamentarzyści, intelektualiści, ministrowie, prezydenci, spieszący się dziennikarze, czyli ściemniacze wszelkiej maści, którzy po powrocie do cywilizacji organizowali solidarnościowe koncerty, urządzali konferencje prasowe, a nawet pisali książki, żeby wyjaśnić światu głębokie przyczyny konfliktu.

Nawet humorysta Pedro Ruiz przyjechał do Sarajewa i wyglądał bardzo dzielnie w kamizelce kuloodpornej. Wojenne wycieczki średnio trwały od jednego do trzech dni, ale wszystkim wystarczało to do uchwycenia jądra problemu. Przyjeżdżałeś z Mostaru czy Sarajewa, brudny jak świnia, i kiedy wysiadałeś z opancerzonego nissana, spotykałeś ich w baliach hoteli w Medugorje albo Splicie, w kamizelkach kuloodpornych, hełmach i z nieustraszoną miną, ryzykujących życie w odległości pięćdziesięciu czy dwustu kilometrów od najbliższych strażów. Barles przypominał sobie w koszmarnych snach Margaritę Retuerto, obrończynię ludu, ubraną w niebieski hełm panny Pepis, życzącą wesołych świąt i hop, hop hurra, chłopaki, obyście mogli jak najszybciej wrócić do domu, podczas gdy jakiś zarośnięty legionista z dalszych rzędów zaczął wykrzykiwać, że panusia jeszcze jest do rzeczy. Albo rozczarowanie starego przyjaciela. Paco Lobatona, który przyjechał robić program "Nie wiadomo gdzie" właśnie do Bośni, kiedy Barles wyjaśnił mu, że kanonada, którą słyszeli przez całą noc, była strzelaniem na wiwat pijanych rakiją Chorwatów świętujących Wigilię, podczas gdy prawdziwa wojna toczyła się pięćdziesiąt kilometrów dalej na północ, w Mostarze. Dokąd Paco bynajmniej się nie wybierał.

Między wycieczkowiczami pojawiali się na wojnie również wojskowi wysokiej rangi z wizytami typu: Czołem chłopaki, co słyhać. W Bośni rozpoznawało się ich natychmiast po aparacie fotograficznym, protekcyjnej minie, a przede wszystkim po mundurze, hełmie i kamizelce kuloodpornej, nieskazitelnie czystych i nowych. Byli to ci, którzy prostowali się w okopach, żeby zobaczyć, gdzie jest wróg, albo uważnie stawiali stopy w rowach i na polnych drogach, w obawie czy nie została tam jakaś mina, która mogłaby wybuchnąć. Kiedyś, na moście w okolicy Bijeli, samochód opancerzony wiozący Marqueza i Barlesa zarobił dwie kulki od snajpera dzięki pewnemu hiszpańskiemu podpułkownikowi, który koniecznie chciał się zatrzymać, bo musiał sobie zrobić zdjęcie. Rozległ się dźwięk bang bang, a wytrawny strateg spytał, czy przypadkiem nie strzelają do nich. Tego dnia samochód prowadził syn prezydenta Kantabrii, Hormaechea, który przyjechał do Bośni jako ochotnik, i Marquez z Barlesem usłyszeli, jak najciężej przeklina podpułkowników i ich mać, podczas gdy kapitan Vargas, twardy i spokojny partyzant, chronił podpułkownika z karabinem w rękę, a Marquez miał gotową kamerę, na wypadek gdyby wojskowego turystę trafiła wreszcie kulka, której wyraźnie szukał.

- Jest podobny do Sekssymbola - zauważył Marquez, wskazując na zwłoki w rowie.

To prawda. Zabity miał identyczne rysy jak pewien żołnierz, który kilka tygodni wcześniej poszedł z nimi w pole kukurydziane koło Yitezu, żeby mogli go sfilmować, gdy strzela z ręcznego granatnika przeciwpancernego RPG-7 do opancerzonego samochodu. Był, podobnie do tego, przystojny jak aktor filmowy, dali mu więc przydomek Sekssymbol. Idąc przez tę kukurydzę, nadepnął, ku przerażeniu ich obu, na minę, która nie wybuchła, dlatego że była to TMB, rosyjska mina przeciwczołgowa, której trzeba nacisku 180 kilogramów, żeby dała o sobie znać. Ale Sekssymbol nie mógł być zabitym w rowie z dwóch oczywistych powodów: ten był Chorwatem, a tamten należał do muzułmańskiej Armii. Poza tym Sekssymbol nadepnął, nazajutrz po wyprawie w kukurydzę, na następną minę, tym razem przeciwpiechotną, potrzebującą zaledwie 9 kilogramów nacisku, żeby wybuchnąć, co też się stało, natychmiast gdy jego but na niej stanął. Niektórzy rodzą się po to, żeby deptać po minach, i najwyraźniej takie właśnie było przeznaczenie Sekssymbola.

Poza tym miny są wyjątkowo złośliwe. Co do reporterów, to zabiły Dickiego Chappelle'a i Roberta Capę, pośród wielu innych. Pierwszą ofiarą min, jaką Barles widział w swoim życiu, był pewien dziennikarz, podczas wojny turecko-cypryjskiej w 1974, zaraz po tym jak Aglae Masini przerznęła Glefkosa z "Timesa", w bungalowie obok czołgu strzelającego z basenu hotelu Ledra Pałace w Nikozji. Aglae straciła jedną rękę, kiedy była w partyzantce Tupamaros, zanim została korespondentką dziennika "Pueblo", ale całkiem dobrze dawała sobie radę tylko z drugą. Ładna, odważna, piła jak drwal i była prawdziwą legendą całego wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego w latach siedemdziesiątych, do tego stopnia, że zainspirowała Volkera Schlöndorffa do stworzenia postaci, którą zagrała Hanna Schygulla w jego filmie o wojnie libańskiej. Co do gościa rozerwanego przez minę na Cyprze, to nazywał się Ted Stanford. Wysiadł z samochodu, żeby się odlać na drodze do Famagusty i nadepnął ją w chwili, kiedy sobie rozpinał rozporek. Jeden jego but poszybował w powietrzu, a Barles, który miał wówczas dwadzieścia dwa lata i był na swojej pierwszej w życiu wojnie, pamiętał, jak stoi z tym butem w ręku i nie wie, co z nim zrobić.

- Moździerz - obwieścił Marquez. Potem, osłaniając kamerę, położył się pod skarpą.

Tym razem Barles nie usłyszał charakterystycznego *tump* wystrzału, ale bardziej ufał Marquezowi niż sobie. W Jablanicy, po spędzeniu tygodnia razem z hiszpańskimi niebieskimi hełmami, był świadkiem, jak Marquez określał moment wystrzału odległej o całe kilometry artylerii po wibracji szyb; stali w dolinie, pociski leciały wolniej niż rozchodzi się fala dźwiękowa, a odgłos wystrzału dobiegał cztery, pięć sekund przed pociskiem, dając im czas, żeby się rzucić na ziemię. Marquez był specjalistą w takich sprawach; pewnego razu, niedaleko Vukovaru, stwierdził, że na drodze są miny, bo trawa nie jest przygnieciona kołami pojazdów. Innym razem na przedmieściach Osijeka szli obok siebie pustą ulicą, w pobliżu linii frontu, i nagle Marquez zatrzymał się, spojrzał na budynek naprzeciwko i krzyknął do Barlesa: jesteśmy załatwieni, a snajper strzelił dokładnie w chwili, gdy chowali się w bramie domu.

Tym razem granat z moździerza uderzył bardzo blisko, obok przeszła mostu, wzbijając fontannę wody. Marquez uważnie przyjrzał się skrajowi lasu, zapiął kamizelkę kuloodporną, którą do tej pory

miał rozpiętą, i położył rękę na kamerze. I on, i Barles wiedzieli równie dobrze, co zapowiadały moździerze: Muzułmanie oczyszczają okolicę przed próbą przejścia przez most. Ale chorwaccy saperzy na pewno wysadzą go wcześniej, kiedy będą mieli pewność, że żaden spóźnialski już nie będzie miał szans przejść przez metalową kładkę. Właściwie to dziwne, że do tej pory jeszcze go nie wysadzili.

Tak naprawdę to leżeli na skarpie właśnie z powodu tego mostu. Od trzech lat pracowali w byłej Jugosławii i zebrali już całkiem pokaźną kolekcję obrazków z mostami nietkniętymi i zburzonymi: Mostar, Caplina, Bijela, Vukovar, Dubica, Petrinja. Mieli je sfilmowane we wszystkich kolorach i rozmiarach, z wszelkich możliwych materiałów, czasem jak przechodzili po nich tego samego dnia w jedną stronę i z powrotem, między uciekinierami i wśród wybuchających bomb, z Serbami, Chorwatami albo Armiją depreczającymi im po piętach. Mieli tych mostów na pęczki. Cała cholerna Bośnia jest pełna rzek i metalowych albo betonowych konstrukcji, służących do przechodzenia nad nimi. Ale dla obu, a zwłaszcza dla Marqueza, most w Bijelo Polje był czymś wyjątkowym. Jak mawiali, był to most czarnej stopy.

II. DUŻO CZŁOĞI, *TUTTO KAPUT*

Obsesja Marqueza na punkcie mostów trwała od trzech lat. Zaczęła się jesienią 1991, kiedy most w Petrinji umknął mu o włos, a Christiane Amanpour z CNN spóźniła się na wojnę. Marquez miał już całe tuziny mostów nietkniętych lub zburzonych, ale dotąd nie uchwycił momentu, gdy jakiś most wylatuje w powietrze. Jeszcze żadnemu zawodowemu kamerzyście nie udało się to w byłej Jugosławii. Sfilmowanie mostu mówiącego właśnie: no to cześć, wydaje się łatwe, ale wcale takie nie jest. Po pierwsze, trzeba tam być. To nie zawsze jest możliwe, bo ludzie nie ogłaszają wszem i wobec, że zamierzają coś zburzyć. Po prostu zakładają ładunki wybuchowe, wysadzają, i już. Poza tym, choć nawet się wie lub podejrzewa, że jakiś most wyleci w powietrze, trzeba mieć pod ręką kamerę i filmować dokładnie w chwili wydarzenia. To znaczy, trzeba tam być i trzeba filmować. A istnieje mnóstwo rzeczy stojących na przeszkodzie filmowaniu. Na przykład kiedy do ciebie strzelają. Albo kiedy spada tyle bomb, że nikt nie jest w stanie podnieść głowy. Albo kiedy żołnierz zajmujący się tą sprawą nie pozwala ci kręcić. Również, zgodnie ze znanym prawem Murphy'ego - kromka chleba zawsze spada na ziemię stroną posmarowaną masłem - wysadzenie mostu, jak większość rzeczy dziejących się na wojnie, zdarza się dokładnie w chwili, kiedy masz wyłączoną kamerę albo właśnie zmieniasz taśmę, albo właśnie skoczyłeś na moment do samochodu, bo wyczerpały się baterie, albo właśnie rozpinasz rozporek, jak Ted Stanford. Tak. Kolega Murphy jest stałym towarzyszem reporterów pracujących na wojnach. Często zresztą traktują go jak jeszcze jednego członka ekipy. Również często wspomina się jego mać.

- Jak stoisz z baterią? - zapytał Barles.

Marquez spojrział na wskaźnik. W porządku. Ma zapas, jeśli sprawy nie będą się zbyt przeciągać. Nie chciał ryzykować wyłączenia kamery, na wypadek gdyby wysadzenie miało nastąpić przed ośmioma sekundami, które muszą upłynąć od włączenia do chwili, kiedy kamera znów zacznie działać. Po drugiej stronie drogi, w rowie obok zwłok żołnierza podobnego do Sekssymbola, leżały hełm i plecak Barlesa, w nim bateria i zapasowa taśma, razem z mikrofonem do robienia wejść. W zasadzie powinno to wystarczyć, choć więcej materiału było w nissanie zaparkowanym za szopą przy drodze. Ekipy telewizyjne poruszają się po świecie dźwigając straszliwą ilość sprzętu; to dosyć przeszkadza, zwłaszcza kiedy trzeba uciekać. Barles często tęsknił do czasów, gdy przez dwanaście lat był specjalnym wysłannikiem dziennika "Pueblo", i ze śpiworem i torbą przerzuconą przez ramię mógł spędzić trzy miesiące na Środkowym Wschodzie albo w Afryce.

Zauważył, że Marquez układa się wygodniej na skarpie, tak ustawiając kamerę, by dobrze objąć most, przymierzając się do kręcenia z okiem przytkniętym do wizjera. Teleobiektyw wysuwał się w przód i cofał, a pierścień ostrości sunął z prawej na lewą i z powrotem. Potem Marquez oparł się i rozejrzał dookoła, a Barles zrozumiał, że oblicza drogę lotu odłamków, kiedy most będzie wylatywał w powietrze.

- Za blisko - powiedział Marquez.

Cofnęli się wzdłuż skarpy o dziesięć metrów i znów położyli. Marquez sprawdził obraz w kamerze i robił wrażenie zadowolonego. Teraz odgłosy strzałów ze strony Bijelo Polje wydawały

się słabsze.

Trzy lata wcześniej, w Petrinji, Marquez był o włos od własnego mostu. Przeszli po nim w tamtą stronę, dotarli do wioski podczas serbskiej ofensywy, kiedy chorwaccy obrońcy przegrywali z jugosłowiańskim wojskiem federalnym. Barles stał na środku głównej ulicy i nagrywał materiał, improwizował coś w rodzaju:

Petrinja za chwilę się podda, i tak dalej, gdy pojawiła się mała grupa uciekających Chorwatów. Jeden z nich, grubasek w strażackim hełmie i z myśliwską strzelbą, zatrzymał się przed kamerą i wybełkotał w okropnym włoskim:

- Dużo czołgi, *tutto kaput. Nema soldati i nema nic. Io sono* ostatni i zwiewam.

Użył niemal dokładnie tych słów. W tej samej chwili serbski czołg pojawił się u wylotu alei, a Marquez stojący pośrodku ulicy sfilmował kule, które przeleciały między jego nogami i trafiły w człowieka, który, już leżąc na ziemi z RPG-7 w ręce, próbował trafić w czołg. Potem wszyscy uciekali, zrobił się potworny zamęt, ranny krwawił na ziemi, a Barles wszedł w kadr - było zostać pielęgniarką, dupku - żeby zatamować mu krwotok, nagle z bliska padł wystrzał i wszyscy, łącznie z rannym kuśtykającym na jednej nodze, zniknęli z kadru, a Marquez, który rozpoczął ujęcie od zbliżenia przestrelonego uda, przeszedł niewzruszony do planu ogólnego. Kilka godzin później te zdjęcia obieły cały świat, a TVE wykorzystywała je przez cały następny rok jako reklamę swoich serwisów informacyjnych; choć w tamtej chwili Marqueza i Barlesa serwisy informacyjne gównie obchodziły. Uciekali z całą resztą w kierunku mostu, mając czołgi za plecami, a Barles pamiętał, że równie szybko uciekał tylko w 1982 przed izraelskimi merkavami, które pilnowały drogi między Sajdą i Bejrutem, kiedy Manu Leguineche myślał, że już go zabili i pytał po szpitalach, czy nie ma tam *sahafi espani*, Hiszpana, któremu zrobili kuku. Ale od biegu w Sajdzie minęło dziesięć lat i teraz Barles i Marquez, i pewnie też Manu, mieli dużo słabsze nogi niż wtedy. Dotarli bez tchu na drugą stronę mostu w Petrinji, który miał na sobie dość ładunków wybuchowych, żeby wysadzić w powietrze zagrzebską katedrę. Marquez rzucił się na ziemię i zaczął przygotowywać kamerę.

- Chcę mieć ten most - powiedział.

Ale go nie miał. Wysadzenie opóźniało się, a pora emisji zbliżała. Dwadzieścia minut później musieli się wycofać, pozostawiając nietknięty most, i dokładnie wtedy pojawiła się Christiane Amanpour z Rustem, kamerzystą z CNN, zwalistym facetem, spokojnym i miłym, ekszołnierzem marines z Wietnamu.

- Macie przerabane, tu już nie ma wojny - powiedział im Marquez.

I taka była prawda. Barles i on byli jedyną ekipą, która obserwowała poddanie Petrinji. Christiane i Rust wrócili razem z nimi do Zagrzebia i wytargowali parę ujęć w zamian za możliwość montażu na ich sprzęcie w hotelu Intercontinental. Rust był porządnym człowiekiem, i jeszcze dużo później, podczas nudnych wieczorów w hotelu Holiday Inn w Sarajewie, często cytował, ubawiony, słowa Marqueza.

- Tu już nie ma wojny - mówił i pękał ze śmiechu na samo wspomnienie.

Christiane Amanpour też wspominała ten epizod między jedną whisky a drugą, przy płomieniu świeczki, podczas gdy serbska artyleria tłukła się na zewnątrz, a Paul Marchand starał się, bez skutku, zaciągnąć ją do łóżka. Marchand był wolnym strzelcem pracującym dla kilku francuskich stacji radiowych. Najdłużej z nich siedział w stolicy Bośni, znał wszystkie sztuczki czarnego rynku i wszędzie jeździł starym, podziurawionym samochodem, na którym napisał: "Oszczędź sobie trudu i nie strzelaj do mnie. Jestem niezniszczalny". Ale tak nie było. W końcu 1993 pocisk kalibru 12,7 mm roztrzaskał mu w drobny mak kość połowy ramienia. Najtrafniejszy opis należał do Xaviera Gautier z "Le Figaro". Według niego łokieć i radio Marchanda przypominały kaszę kuskus.

Co do mostu w Petrinji, rzeczywiście został wysadzony jeszcze tego samego dnia, w dwie godziny po tym, jak Marquez powiedział Christiane i Rustowi, że tam już nie ma wojny; nie było jednak na miejscu żadnej kamery, która by uwieczniła tę chwilę. Marquez nie umiał się z tym pogodzić i od tego czasu stale poszukiwał mostu, którego wysadzenie mógłby sfilmować. Stało się to niemal jego obsesją, podobnie jak obsesją było w swoim czasie wchodzenie na najwyższe piętro hotelu Rachid w Bagdadzie i czatowanie przez wiele godzin na pocisk Tomahawk, aby go sfilmować. Potem było mu wszystko jedno, czy materiał pójdzie do emisji, czy nie, kierował nim tylko instynkt myśliwego - po prostu musiał te zdjęcia mieć.

Czas płynął powoli. Barles rzucił okiem na wskaźnik stanu baterii i podniósł się.

- Pójdę po plecak - powiedział.

Uważnie nasłuchując, przeszedł przez drogę, starając się nie odcinać zbyt wyraźnie ani zbyt długo od skarpy. Na pewno żołnierze Armii zajmowali pozycje po drugiej stronie rzeki. Słońce stało wysoko i kamizelka kuloodporna stawała się coraz cięższa i cieplejsza, jednak nie zdecydował się jej zdjąć; mogłoby to wystarczyć, żeby jakiś znudzony snajper znów potwierdził prawo starego Murphy'ego, mówiące, że jeśli spada kromka, i tak dalej. Jeśli cokolwiek na wojnie może się nie udać, nie uda się.

Pomyślał o farcie. Farta masz wtedy, gdy generał Loan strzela w głowę północnemu Wietnamczykowi, a ty nie jesteś tym Wietnamczykiem, tylko fotografem, i wszystko dzieje się przed twoim obiektywem. Albo kiedy filmujesz Billa Stuarta w Nikaragui w chwili, kiedy jakiś somozista każe mu uklęknąć i zaraz potem do niego strzela. Masz farta, kiedy robisz zdjęcia w Sarajewie, trafiają cię, ale kula przechodzi przez gardło, nie naruszając żadnych ważniejszych organów, jak to się zdarzyło Antoine'owi Gyoriemu, albo bojowym wozem Warrior wjeżdżasz na minę, jak Corinne Dufka, i giną wszyscy oprócz ciebie. Pech z kolei jest wtedy, kiedy ktoś pomyli drogę, jak Gilles Caron w Pico del Pato albo jak ekipa NBC, która w Sajdzie wysiadała z samochodu ze statywem w pokrowcu, a izraelski artylerzysta z merkawy pomyślał, że to pocisk. Pecha masz też wtedy, jeśli cię zabijają, jak Corneliusa w Salwadorze, kiedy zakochujesz się w dziewczynie, która jest twoim dźwiękowcem, albo zginiesz w zwykłym wypadku samochodowym, tak jak Alaiz, który wyszedł z około trzydziestu wojen bez jednego zadraśnięcia. Ale mimo wszystko, mimo że pech istnieje, tylko nieliczni dziennikarze weterani w niego wierzą. Na wojnie rzeczy dzieją się raczej zgodnie z prawem

prawdopodobieństwa: dopóty dżban wodę nosi, dopóki nie zrobi trach. Na wojnie mogą zabić cię na wiele sposobów, ale najczęstsze są trzy.

Pierwszy rodzaj śmierci polega na tym, że akurat wypada na ciebie, jak na loterii. To jest nieodwołalne i kiedy trafia na ciebie, znaczy - twoja kolej i już. Na temat pecha, czystego i prostego, czy w pracy, czy w sprawach zdrowia, nie można nic powiedzieć, tylko trzeba się z nim pogodzić. Żywym tego dowodem był argentyński fotograf Manuel Ortiz, wolny strzelec, który kręcił się po okolicy od początku wojny. Nie miał złamanego dolara przy duszy, żył cały czas na pożyczkach, oczekując na wspaniałe zdjęcie, które rozwiąże mu wszelkie życiowe problemy; wszyscy jednak wiedzieli, że Manuel nigdy nie zrobi tego zdjęcia. Miał wyjątkowy talent do znajdowania się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Na przykład, kiedy w Zagrzebiu poddawały się koszary im. Marszałka Tito, on był w Sisaku, gdzie na froncie panował absolutny spokój. Z kolei kiedy jechał do Jasenovaca, żeby fotografować serbską ofensywę, walki przenosiły się w zupełnie inne miejsce, na przykład do Sisaku. Sceny, które mogłyby przynieść Manuelowi sławę i pieniądze, zawsze działy się wtedy, kiedy skończył mu się film albo kiedy skonfiskowano mu aparat fotograficzny gdzieś na punkcie kontrolnym. Ale to wcale nie znaczy, że plemię specjalnych wysłanników uciekało przed Argentyńczykiem albo otaczało go próżnią, dlatego że prześladował go pech. Przeciwnie, wszyscy chętnie stawiali mu kieliszek i przy okazji pytali o plany.

- Gdzie jutro jedziesz, Manuel?

- A wiesz, mam zamiar rzucić okiem, co się dzieje w Pakracu.

I wszyscy skreślali Pakrac z planów na dzień następny i jechali pracować gdzie indziej. Tak czy inaczej, z ciężącym nad nim pechem Manuel przez trzy lata kręcił się tam - Vukovar, Sarajewo, Mostar - bez jednego zadraśnięcia, czym nie wszyscy mogli się pochwalić. Na przykład pewna duńska ekipa telewizyjna przez tydzień budziła zazdrość wszystkich w hotelu Intercontinental w Zagrzebiu, bo wszędzie, gdzie jechali, coś się działo i mieli świetne materiały. Do dnia, kiedy z okopów w Górne Radici wychylili się, żeby zrobić ogólny plan i zaraz wpadli tam obaj z powrotem, z głowami podziurawionymi kulami, ponieważ nie założyli hełmów. Fart i pech to względne rzeczy, zależy jak na nie patrzeć. Bo, jak powiedział Manuel, kiedy usłyszał tę historię, pijąc - na krzywy ryj - w barze Explanade, lepiej nie zrobić żadnego zdjęcia, niż zrobić ostatnie zdjęcie.

Odrzucając czynnik pecha, Barles wiedział, że są jeszcze dwa sposoby, by zostać zabitym na wojnie. Pierwszy występuje wtedy, gdy jesteś na wojnie od niedawna i jeszcze nie potrafisz się tam poruszać. Połowa zabitych ginie na samym początku i nie ma czasu, żeby nauczyć się sztuczek, jak odróżnić strzały początkowe od strzałów końcowych, jak iść ulicą pod ostrzałem snajperów, jak nie odcinać się od okien i drzwi albo wiedzieć, że gdzie dużo się strzela, tam można oberwać, czy jest się dziennikarzem, czy nie. Czyli przyjeżdżasz, zabierasz się do roboty i zaraz cię zabijają, tak jak Juanxu Rodrigueza w Panamie albo Jordiego Pujola w Sarajewie, gdy razem z Erikiem Hauckiem robił zdjęcia dla "Avui". Albo Alfonso Rojo w Nikaragui, kiedy somoziści chcieli go rozstrzelać, co pewnie by się stało, gdyby nie wyskoczył z ciężarówki, którą był wieziony, ze związanymi na plecach rękami, na miejsce egzekucji. W tamtych czasach Alfonso bardzo się na nich pogniewał,

zwłaszcza dlatego, że mówili mi: A teraz założymy ci czyste buciki i ruszaj w drogę, co jest wyraźnym brakiem respektu, kiedy zaraz mają cię zabić. Ale z czasem człowiek łagodnieje, i Alfonso twierdził, że nie ma już żalu do somozistów. I choć niedzielni wycieczkowicze i oszuści dużo krzyczą, prawdą jest to, że dziennikarzy na wojnie nie zabija się: giną, pracując w miejscach, gdzie się strzela i gdzie jest zamieszanie, gdzie płaczą się sukinsyny z karabinami, które nie mają chęci ani czasu, żeby poprosić cię o papiery. Takie są reguły gry i Alfonso, i Barles, i Manu, i wszystkie stare lisy, które przeżyły w tym zawodzie, wiedzą o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Co do bycia zabitym, to trzecia możliwość, najczęstsza, wynika z rachunku prawdopodobieństwa. To znaczy: po jakimś czasie i na ciebie wypadnie. W Sarajewie pod koniec 1992 wszyscy byli zgodni, że Manucher, fotograf z AFP, wyjechał chwilę przedtem, zanim przy szła jego kolej. Dzień wcześniej, kiedy szedł w dół po schodach w towarzystwie bośniackich przyjaciół, serbski pocisk zmiotł połowę schodów razem z przyjaciółmi, a on pozostał na ostatnim nietkniętym stopniu, z jedną nogą w powietrzu, jak kot Dzinks na filmach rysunkowych. Po południu, kiedy odpoczywał w swoim pokoju hotelowym, wstał po szklankę wody, dokładnie w momencie gdy seria z karabinu maszynowego przecięła środek łóżka. Manucher był Francuzem irańskiego pochodzenia i jego wschodni fatalizm stanowił źródło spokojnej i obojętnej odwagi; ale wiadomość, że go odwołują, przyjął z widoczną ulgą, bo - jak wyznał, wsiadając do samolotu - był pewien, że już niedługo przyszłaby jego kolej. Podobnie Paco Custodio zabrał się do liczenia, notując na kartkach, bardzo poważny, w świetle własnej latarki Maglite w hotelu Holiday Inn, po czym ulotnił się z Sarajewa. Było to jesienią 1992, w czasach wielkich bombardowań, rozstrzeliwań ludzi stojących w kolejkach po chleb, i średnio wypadał jeden dziennikarz zabity lub ranny na sześć dni; Martin. Beli z BBC został wtedy trafiony w chwili, gdy filmował go jego kamerzysta, i to było tak, jakby pojechać do Rzymu i trafić na audiencję papieską, podczas której strzelają do ojca świętego. Barles pamiętał, jak Custodio, ze swoimi brytyjskimi wąsami, pokazywał mu bazgroły na kartce z notesu, a światło latarki odbijało się w jego okularach. A plus B równa się C. Średnio na człowieka wypada tyle i tyle dni, my jesteśmy tutaj już czterdzieści pięć, średnio po dwanaście godzin dziennie na ulicy. Strzelało do nas tyłu i tyłu snajperów, spadło tyle bomb, takie są rachunki, i teraz jest nasza kolej. Napij się whisky, ja stawiam, bo stąd spływam.

Sztuka spływania z różnych miejsc... Paco Custodio wykazał zdrowy rozsądek, po miesiącu z hakiem na wojnie nikomu nie musiał niczego udowadniać. Inni nie wytrzymywali tak długo, jak na przykład Miguel el Manchego w Abu Szaud w Libanie, w lutym 1987, który zaczynał drzeć na samą myśl o swojej nowo narodzonej córce i kiedy słyszał strzał, ręka spadała mu z kamery i Barles musiał redagować główny materiał ze ścinków poprzedniego reportażu. Innym znów odpałało, na przykład tak się stało z Nacho Ayllonem, dźwiękowcem, który był z Custodiem i Barlesem w Mozambiku w marcu 1990. Nacho mało nie oszalał ze strachu pewnej nocy, kiedy grupa pijanych partyzantów chciała ich zabić po to, by im zabrać zegarki i buty, a ich szef powiedział, żeby mu zostawili niebieskookiego chłopaczka żywego. Innym wystarczało drobiazg, aby przestali dłużej znosić to wszystko, jak Manolo Ovalle w Bejrucie: po latach spędzonych razem z Miguelem de la Cuadra, kiedy bez mrugnięcia okiem spacerował pod kulami, pewnego razu zobaczył zdjęcia szytów z poderżniętymi gardłami, świeże, z poprzedniego dnia; zamknął się w pokoju hotelu Alexandre i powiedział, że nie pojedzie na front w Bikfaya, jeśli nie dostanie gwarancji. Jakich gwarancji,

wściekał się Enrique del Viso, kiedy poszli po niego do pokoju, a Ovalle wyjął zdjęcie żony i dzieci. Teraz Ovalle sprzedawał buty Panama Jack, żeby zarobić na życie, i pozował na nieustraszonego poszukiwacza przygód. Tygrysem z Bejrutu nazywali go ci, którzy wiedzieli o wszystkim.

Barles spojrzął na drugą stronę rzeki, gdzie dachy Bijelo Polje nadal płonęły. Zaczął sobie wyobrażać przedmioty, które podtrzymywały ten ogień: książki, meble, fotografie, okruchy ludzkiego życia. Od czasu pożaru biblioteki w Sarajewie, zawsze kiedy patrzył na płonący dom, nie mógł uniknąć myśli o jego zawartości. Biblioteka miejska spłonęła w tamtym czasie, na przełomie lata i jesieni 1992, kiedy Manucher, Custodio i wielu innych odjechało i zastąpili ich nowi. Średnio byli na miejscu dwa tygodnie, ale czasem zaraz po przyjeździe zostawali ranni albo zabici, i wyjeżdżali tak szybko, że nie było czasu, by zapamiętać ich nazwiska; na przykład, ten producent z ABC, którego - kiedy jechał z lotniska - snajper trafił pociskiem rozpryskowym w nerki, dokładnie pomiędzy literami T i V błyszczącymi na tylnej ścianie furgonetki, załatwiając go po niecałych dwudziestu minutach spędzonych w mieście. Albo dwóch francuskich fotografów, pracujących niezależnie, młodych i nieznanych, którzy przyjechali na swój pierwszy wojenny reportaż. Przylecieli o dziesiątej rano herculesem ONZ-etu, a już o jedenastej w jednego z nich trafił odłamek pocisku moździerzowego, został więc odwieziony do Zagrzebia tym samym samolotem, którym przyleciał. Jego towarzysz, nieśmiały rudzielec o imieniu Oliver, przez dwa dni błąkał się po korytarzach hotelu Holiday Inn w stanie szoku, niezdolny do pracy ani nawiązania kontaktu z kimkolwiek, aż Fernando Mugica z "El Mundo" zlitował się nad nim, zaproponował alkohol plus całonocną rozmowę. Mugica swój akt miłosierdzia tłumaczył w ten sposób:

- Tylko jedna rzecz może być gorsza od bycia nieznanym fotografem, który zostaje ranny zaraz po przyjeździe do Sarajewa: być nieznanym przyjacielem nieznanego fotografa.

Barles zawsze się uśmiechał na wspomnienie Fernanda Mugiki, którego poznał blisko dwadzieścia lat wcześniej w Al-Ajun. Fernando był wysokim, jasnowłosym Baskiem o dobrym sercu i wspaniałym poczuciu humoru. Zaraz po przyjeździe do Sarajewa, kiedy pierwszy raz pojechał z nimi samochodem na wyprawę przez zaciemnione miasto podczas nocnego bombardowania, jedna z bomb spadła w pobliżu, zapalając stojącą ciężarówkę. Kiedy przejeżdżali obok niej, jasno płonącej, Fernando wskazał głową:

- To nie jest naprawdę, co? Wszystko to przygotowaliście, żeby mnie przestraszyć.

Wzrok Barlesa zatrzymał się na rowie. Zabity podobny do Sekssymbola wyglądał tak samo jak przedtem, może było nad nim trochę więcej much. Wszyscy zabici, pomyślał, są do siebie niesamowicie podobni. Zaczął sobie przypominać i widział różnych zabitych wyglądających zawsze tak samo, mimo najrozmaitszych scenerii i pozycji. Czasem obrazy nakładały się na siebie i trudno byłoby mu określić, w jakim miejscu, w którym momencie w przeszłości pojawił się który. Zabici znajomi i zabici bezimienni: Kibreab, Belali, Alberto, Jasir, Erytrejczycy zabici w dolinie Tessenej, chłopak w Esteli, Georges Karane w Aszrafiji, Irańczycy nad rzeką Karun Rud, Pedro Aristegui w Hadath, sandinistka Maria Asunción w Paso de la Yegua, Jasmina w kostnicy w Sarajewie, policjanci z rolexami na ręce, osmaleni na drodze do Basry. Albo tamtym razem, kiedy zajrzał do zniszczonego czołgu w Ndżamenie, a w środku leżał libijski żołnierz, bardzo młody, jakby spał w

ogromnej kałuży krwi, całe litry krwi najżywszej i najczerwieńszej jaką Barles widział w życiu; otworzył wszelkie luki i włazy, żeby mieć dość światła, by zrobić zdjęcie. Tego samego dnia zrobił jeszcze zdjęcie, które poszło na pierwszą stronę w "Pueblo": dwóch partyzantów obok zabitego przeciwnika, jakby był myśliwskim trofeum; jeden z palcami w znaku V, a drugi ze stopą na głowie zabitego. A może to zdjęcie zrobił innego dnia, może to nawet była inna wojna, Może zabity nie był Czadyjczykiem, ale Etiopczykiem i może nie zdarzyło się to w Ndżamenie, ale w Tessenej, w Erytrei, gdzie 4 kwietnia 1977 Barles był przez pół godziny sam pośród trupów w dolinie, a kiedy skończył ostatnią rolkę filmu i przestał patrzeć na zabitych przez obiektyw aparatu, przeraził się i zaczął uciekać w górę po zboczu, jakby się obawiał, że już nigdy nie wróci do świata żywych.

Tak czy inaczej, Barles cieszył się, że od dziesięciu lat pracuje dla telewizji, a jego stare pentaxy rdzewieją na dnie szafy. Jest lepiej, kiedy obrazem zajmują się inni.

Jeszcze spojrzął na zabitego. Kieszenie miał wywrócone; zapewne koledzy zrewidowali go w poszukiwaniu amunicji, pieniędzy i papierosów, zanim go tu zostawili. Odpędził stopą muchy z nad twarzy, ale zaraz wróciły. Przez chwilę Barles wyobraził sobie, że ktoś gdzieś na niego czeka. Może jakaś kobieta. Zabity był młody, może więc ma matkę albo dziewczynę. W każdym razie ten ktoś, oczekujący listu czy wiadomości, słuchając radia - intensywne walki w centralnej Bośni - jeszcze nie wie, że osoba, o której myśli, jest już strzępem mięsa gnijącym na drodze między Bijelo Polje i Cerno Polje. Bo tak naprawdę każdy zabity jest przyszłym bólem tych, którzy na niego czekają, nie wiedząc, że już nie żyje.

Barles odwrócił się od Sekssymbola i z plecakiem i hełmem w ręce podszedł do Marqueza. Tak czy inaczej, biali, czarni czy żółci, wszystko jedno z której strony, wszyscy zabici, których mógł sobie przypomnieć, byli zawsze tym samym zabitym w tej samej wojnie, w jego pamięci i poza nią. Kiedyś zrobił sprawdzian: przygotowywał materiał do "Przeglądu Tygodnia" na temat Angoli, gdzie zabitymi byli czarni, i włączył kilka ujęć z archiwum sprzed dwóch lat, z zabitymi białymi, z Salwadoru. Antolin, montażysta materiałów wideo, był przerażony. Zobaczysz, z tego będą kłopoty, mówił. Ale nikt nie zauważył różnicy.

III. SZAMPAN, DZIEWCZYNY, FAKTURA, NO PROBLEMA

Wybuch wstrząsnął drzewami po drugiej stronie rzeki i ogień karabinowy, który już słabł pomiędzy płonącymi dachami, przez chwilę znów się wzmógł. Po pierwszej detonacji nastąpiły kolejne, pośród których Barles rozpoznał huk działa kalibru 100 mm jakiegoś starego czołgu T-54 zdobytego przez Muzułmanów. Na drugim brzegu dachówki musiały latać w powietrzu, a ostatni chorwaccy żołnierze w każdej chwili mogli przerwać obronę i opuścić Bijelo Polje. Jeśli czołgi już tam dotarły, pomyślał, kleszcze zaraz zacisną się wokół wsi. Wkrótce pojawią się za zakrętem, na wprost mostu, postanowił więc wrócić do Marqueza.

Kilka kul wysoko przeleciało z gwizdem, kiedy przechodził przez drogę. Wystrzelono je zza rzeki i musiały to być zagubione kule, z tych, które latają bez konkretnego kierunku i czasem spadają z trzaskiem na asfalt. Dźwięczały tak jak długi drut poruszony w powietrzu. Ziaaang. Ziaaang. Instynktownie pochylił nieco głowę, słysząc, jak przelatują. Kula, która cię zabija, to ta, której nie słyszysz. Kula, która cię zabija, to ta, która z tobą zostaje, nie mówiąc ci: Tu jestem.

Wojna w rzeczywistości jest właśnie tym, myślał, podchodząc do Marqueza: to kilogramy, setki kilogramów, tony kawałków metalu latających we wszystkie strony. Kule, odłamki, pociski o trajektoriach prostych, linearnych, krzywych lub wymyślnych, kawałki stali i żelaza lecące zygzakami, odbijające się tu czy tam, krzyżujące się w powietrzu, przebijające skórę, wyrywające kawałki mięsa, łamiące kości, plamiące krwią ziemię i ściany. Po dwudziestu latach pracy korespondenta wojennego Barles ciągle dawał się zaskoczyć dziwnym zachowaniem tych kawałków metalu: od skaczącej miny przeciwpiechotnej, która zamiast wybuchnąć na ziemi, kiedy stawał na niej Sekssymbol (wskaźnik śmiertelności 60 procent), eksplodowała w powietrzu (wskaźnik śmiertelności 85 procent), po granaty i amunicję kalibru 5,56 mm, która w ostatnich czasach pojawiała się na wszystkich frontach w Bośni, w miarę jak przemytnikom broni udawało się zadomowić na rynkach.

Ziaaang. Ziaaang. Gwizdząc, przeleciały wysoko dwie kolejne kule, ale tym razem nie pochylił głowy, dlatego że spodziewał się ich i dlatego że Marquez leżący na skarpie, z kamerą w rękę, patrzył na niego. Pocisk 5,56 mm też ma swoją specyfikę, pomyślał Barles. Jest lżejszy niż jego bracia innego kalibru, a na dodatek ma tę zaletę, że wystrzelony, leci na granicy równowagi i jeśli napotyka ludzkie ciało, zmienia trajektorię. Wtedy, zamiast wyjść prosto, zaczyna koziółkować, wylatuje gdzie indziej, a po drodze sukinsyn łamie kości i niszczy organy wewnętrzne. To prawda, że zabija na miejscu rzadziej niż pociski kalibru 7,62 NATO czy krótszy nabój kałasznikowa; ale to wszystko jest wykalkulowane. Co do kul, to zabici wrogowie są zabici i koniec. Ale naprawdę skuteczność polega na tym, żeby przeciwnik więcej niż zabitych miał ciężko rannych i okaleczonych: ich ewakuacja z pola walki, leczenie i pobyt w szpitalu wymagają wiele wysiłku, komplikują logistykę wroga, rozbijają mu organizację i obniżają morale. Teraz już się nie zabija wroga. Teraz lepiej przysporzyć mu wielu beznogich, bezrękich i sparaliżowanych i niech sobie z nimi radzi, jak potrafi. Do tego wniosku, sądził Barles, musiały dojść sztaby główne po przeczytaniu raportu - skrzyżowania statystyk z Wietnamu, kampanii napoleońskich i kto wie, czego jeszcze - który jakiś wykwalifikowany specjalista opracował po przeanalizowaniu czynników, tendencji i parametrów.

Barles wyobraził sobie gościa w koszuli, który ma na imię Mortimer albo Manolo, sekretarka przynosi mu kawę, dziękuję, co słyhać, dziękuję, dobrze, tutaj siedem tysięcy zabitych, tam dziesięć tysięcy, dodaję pięć, do licha, bardzo gorąca ta kawa, posłuchaj, moja droga, bądź tak dobra i przynieś mi dane procentowe o oparzeniach napalmem. Nie, to dotyczy ludności cywilnej, a ja miałem na myśli żołnierzy piechoty. Dziękuję, Jennifer albo Maripili. Pójdziemy na drinka po pracy? Nie żartuj, no to co, że masz męża? Ja też jestem żonaty!

Barles doskonale wiedział: fakt, że serbski artylerzysta, na przykład, wystrzelił z moździerza nabój PPK-S1A, a nie PPK-SSB i trafił w kolejkę po chleb w Sarajewie, stanowi o różnicy, czy Mirjan albo Liljiana będą żyły, umrą, zostaną lekko ranne, czy też zostaną kalekami do końca życia. A używanie czy dostęp do PPK-S1A lub PPK-SBB mniej zależą od woli czy chęci serbskiego artylerzysty, a więcej od obliczeń statystycznych dokonanych przez Mortimera czy Manola, który między jedną kawą a drugą kombinuje, jak by tu przelecieć sekretarkę. Swawolna kula kalibru 5,56 mm, taka która w ciele człowieka koziołkuje i zamiast wylecieć którędy powinna, wychodzi gdzie indziej, po drodze niszcząc wątrobę, zachowuje się w ten sposób dlatego, że jakiś utalentowany inżynier, spokojny człowiek jakich wielu, może praktykujący katolik, miłośnik Mozarta i ogrodnictwa, spędził wiele godzin na analizowaniu całego zagadnienia. Może nawet dał temu naboju jakieś imię - Luiza, Mała Euzebia albo podobnie - bo akurat w dniu, kiedy go zaprojektował, były urodziny jego żony czy córki. Kiedy plany zostały ukończone, czując satysfakcję z dobrze wypełnionego obowiązku, ze spokojnym sumieniem morderca o czystych rękach zgasił światło nad deską kreślarską, gdzie zrobił projekt, i pojechał z rodziną do Disneylandu.

Dotarł do skarpy i położył się obok Marqueza. Kamerzysta zapalił kolejnego papierosa i spokojnie się zaciągał, od czasu do czasu spoglądając na płonące dachy wioski.

- Słyszałeś czołgi? - zapytał.
- Tak, chcę to szybko skończyć.
- Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze miał tędy przejść.
- Ja też nie.

Barles spojrzał na zegarek, zniecierpliwiony. Nienawidził zegarków. Od dwudziestu jeden lat jego życie przebiegało pod ich dyktando, było zależne od godziny zwanej w żargonie deadline. To ta chwila, kiedy zamyka się wydanie gazety albo telewizyjnych wiadomości, i cała robota, jeśli nie dotrze na czas, idzie w diabły. Jeszcze trzeba dojechać do miejsca nadawania - domu otoczonego workami z ziemią, z agregatem prądotwórczym i anteną paraboliczną na dachu, gdzie pracuje Pierre Peyrot i ludzie z EBU. A i tam transmisja czasem bywa przerywana z powodu uszkodzenia linii, kłopotów z sygnałem, awarii agregatu czy zbyt bliskiego wybuchu bomby. Praca całego dnia może w ten sposób przepaść i wtedy Barry, amerykański technik, wzrusza ramionami, patrząc na Barlesa, jakby mu składał kondolencje. Maybe the next time, może następnym razem. Barry to rosły facet, zawsze w dobrym humorze, rozmawiał przez telefon satelitarny ze swoją filipińską żoną w dziwnej mieszance angielsko-hiszpańskiej i zanim odłożył słuchawkę, mówił: kocham cię, cichutko,

zasłaniając usta dłonią, jakby się wstydził, że inni słyszą, kiedy staje się na pięć sekund czoły. Ludzie z EBU to ekipa najemników bardzo dobrych w swoim fachu, którzy obsługiwali transmisje satelitarne telewizji stowarzyszonych w sieci Eurowizji. Pierre, ich lokalny szef, był Francuzem, chudym i miłym, w okularach, który przez pół roku mieszkał w Amsterdamie z żoną i córką, a drugą połowę spędzał na wojnach w najróżniejszych miejscach planety. Barles pracował z nim już wszędzie, byli starymi przyjaciółmi. Każdego dnia, bez wysyłania przez Madryt oficjalną drogą zapotrzebowania do Brukseli, Peyrot rezerwował dla Barlesa i Marqueza satelitę na dziesięć minut i godzinę na montaż u Franza, milczącego Niemca, lub u Salema, jasnowłosego, drobnego i uśmiechniętego Szwajcaro-Tunezyjczyka. W gorsze dni redagowali materiał w hełmach na głowie i w kamizelkach kuloodpornych. Kiedyś, w Sarajewie, Franz i Barles odeszli od stołu montażowego na trzydzieści sekund przed tym, jak granat wybuchł pod oknem, pokrywając cały pokój odłamkami. Pierre ułożył, do muzyki w rytmie znanych kupletów, tekst o całym wydarzeniu: "Raz, gdy hiszpańska ekipa poszła odlać się", itd. Często ją śpiewali, kiedy po ciemku upijali się w Holiday Inn, podczas gdy na zewnątrz spadały bomby, Manucher opowiadał niezrozumiałe irańskie dowcipy, a Arianne, korespondentka France Inter, która czasami wydawała się podobna do księżniczki Karoliny z Monako, wyciągała od Barlesa całe paczki chusteczek higienicznych, bo jej się skończyły podpaski.

Hotele dla dziennikarzy. Każda wojna ma swoje hotele i zawsze tak było. Vicente Talon, Giorgio Torchia, Pedro Mario Herrero, Louisset, Miguel de la Cuadra, Green, Vicente Romero, Fernando de Giles, Basilio, Bonecarrere, Claude Gluntz, Manolo Alcala, starzy reporterzy z Algierii, Katangi, Kuby, Biafry i wojny sześciodniowej, zmarli, skończeni lub emerytowani, bohaterowie opowiadanych w barach i burdelach historii, którymi Barles karmił się w młodości, wspominali z nostalgią hotel Aletti w Algierze czy Saint-Georges w Bejrucie. Kiedy myślał o tym, czuł się przeraźliwie staro. Razem z Manu Leguineche i paru innymi, Barles należał do pokolenia niemal już wymarłego, które zaczęło słuchać kul w początkach lat siedemdziesiątych. To były inne czasy, nie było takiego pośpiechu - stukales w klawiatury starych teleksów, kręciłeś filmy, dźwigałeś poobijanego underwooda, mogłeś przepaść na całe miesiące gdzieś w Afryce, a po powrocie i tak i reportaż publikowano na pierwszej stronie. Teraz jednak wystarczało pięciominutowe spóźnienie czy przestawienie satelity, żeby informacja się zestarzała i stała się niczym więcej jak cholernym śmieciem.

Dla Barlesa, jak dla wszystkich reporterów weteranów, każda wojna wiązała się z nazwą jakiegoś hotelu. Kiedy plemię specjalnych wysłanników odkopuje topór i biegnie za zapachem prochu, wiele twarzy i nazwisk pojawia się w pamięci na wspomnienie dat i hoteli:

Ledra Pałace na Cyprze, Commodore i Alexandre w Bejrucie, Intercontinentale w Managui, Bukareszcie i Ammanie, Hilton w Kuwejcie, Chart w Ndżamenie, Camino Real w Salwadorze, Continental w Sajgonie, Sheraton w Buenos Aires, Parador w Al-Ajun, Dunav w Vukovarze, Mansour i Rachid w Bagdadzie, Explanade w Zagrzebiu, Anna Maria w Medugorje, Meridien w Az-Zahranie, Holiday Inn w Sarajewie i wiele innych rozsypanych po obszernej mapie katastrof. Hotele wybrane na sztab główny reporterów mieszczą w sobie osobliwy i malowniczy świat: ekipy telewizyjne pojawiające się i wyjeżdżające, kable płączące się w hallach i na schodach, baterie ładujące się we wszystkich możliwych gniazdkach, anteny telefoniczne i sprzęt nadawczy w każdym

miejscu, bar narażony na systematyczną grabież, wyłączenia prądu, świeczki w pokojach, kelnerzy, żołnierze, Stręczyciele, dziwki, przemytnicy, taksówkarze, szpiedzy, donosiciele, policjanci, tłumacze, dolary, czarny rynek, fotografowie siedzący w westybulu, faceci z radiami Sony przylepionymi do ucha słuchający France Inter albo BBC, kamery walające się po ziemi, sprzęt nadawczy, przenośne komputery, maszyny do pisania, kamizelki kuloodporne na kupie z hełmami i śpiworami... Czasem, jak na Cyprze, w Kuwejcie czy w Sarajewie, woda cieknie po schodach, szyby są potłuczone przez kule i pokoje zniszczone wybuchami bomb, w korytarzach leżą materace i słycać hałas benzynowych prądnic, dzięki którym jest energia elektryczna. Barles przypomniał sobie hotel, w którym Aglae Masini czołgała się razem z Enrique Gasparem i Luisem Pancorbo przez hali, podczas gdy tureccy spadochroniarze strzelali do nich od strony basenu. Cornelius upijający się z Josemi Diaz Gilem w porze happy hour - dwa drinki w cenie jednego - w Camino Real, po tym jak przeżyli w górach atak raketowy ze śmigłowca armii salwadorskiej. Enric Marti czyszczący swoje niki w barze Holiday Inn w chwili, kiedy serbski pocisk wysadza w powietrze pokój 326. Achille D'Amelia, Ettore, Peppe i inni włoscy dziennikarze w kąpielówkach i maskach gazowych na basenie hotelu Meridien, podczas gdy wystrzelone przez Irak rakiety Scud powodowały ogłoszenie alarmu w Az-Zahranie. Alfonso Rojo odsadzający od czci matkę Petera Arnetta, bo nie pozwalał mu skorzystać z telefonu w hotelu Rachid w Bagdadzie. Ricardo Rocha z kieliszkiem w ręce, wychodzący z Intercontinentalu, żeby popatrzeć, jak sandiniści atakują bunkier Somozy. Manu Leguineche piszący na swojej Olivetti na tarasie Continentalu, o rzut kamieniem od partyzantów Wietkongu. Javier Yalenzuela w ciemnych okularach w barze hotelu Alexandre, zakochany w Libance i odkrywający właśnie wojnę. Tomas Alcoverro poważnie rozmawia z papugą w hotelu Commodore, namawiając ją, żeby powtarzała: Cembrero, nienawidzę cię, Cembrero, nienawidzę cię. Wszyscy biegnący się schronić do Osijek Garni, i Julio Fuentes śpiący w swoim pokoju, nieświadomy niczego, bo odłączał aparat słuchowy od ucha, żeby móc spokojnie spać. Albo osiemnaście rumuńskich dziwek, zrekrutowanych osobiście przez Barlesa na sylwestrową zabawę dziennikarzy w hotelu Intercontinental, pijących wspólnie z alfonsami i kelnerami, kiedy Josemi ćpa rozgnieciony actron, bracia Dalton - telewizja galicyjska - produkują jointy, a Julio Alonso i Ulf Davidson, kompletnie zalani, rzucają śnieżnymi kulkami w gościa z CNN, który, stojąc pod oknem, właśnie nadaje na żywo.

Leżeli obok siebie i patrzyli na rzekę. Barles spojrzał kolejny raz na profil kamerzysty: miał dwudniowy zarost, a pionowe zmarszczki po obu stronach ust nadawały jego twarzy wyraz twardego uporu.

- Zostało nam niewiele czasu - odezwał się Barles.

- Wszystko mi jedno. Tym razem nie stracę mostu.

Marquez miał w Madrycie żonę i dwie córki, które widywał przez miesiąc w roku, i po dwudziestu dniach tego miesiąca stawał się tak nieznośny, że własna rodzina radziła mu wsiąść w samolot i jechać na jakąś wojnę. Może Eva, jego żona, dlatego jeszcze się z nim nie rozwiodła, że ciągle trwają wojny, na które można go wysyłać. Czasem, w rzadkich chwilach zwierzeń, Marquez pytał Barlesa, co do cholery zrobi, kiedy już będzie za stary na podróże i będzie musiał siedzieć w domu przez całe długie miesiące. Barles zazwyczaj mu odpowiadał, że nie ma ani cienia pieprzonego

pojęcia. Jeśli nie zginie wcześniej albo nie odejdzie na czas, emerytowany reporter jest jak stary marynarz, całe dni stoi w oknie i wspomina. Można skończyć jak Vicente Talon, włączający się po korytarzach, pijący kawę z automatów i opowiadający o swoich bitwach młodym, jak dziadek Poszepczyński. Czasem zastanawiał się, czy nie było lepiej wejść na minę, jak Ted Stanford na drodze do Famagusty, zapisać się na śmierć albo paść na syfilis w jakimś kairskim barze czy burdelu w Bangkoku. Albo na AIDS, tak jak Nino, najpierw dźwiękowiec, a potem kamerzysta Telewizji Hiszpańskiej, który wypił wszystko, co się dało i przeleciał, ile mógł, zanim zniknął za kulisami, nie dożywszy nawet trzydziestki. Często razem pracowali w Afryce Północnej i w Cieśninie Gibraltarskiej, w tym przez miesiąc zastawiając na Marokańczyków pułapki razem z chłopakami z Polisario, i Barles do dziś wspomina go, z dreszczykiem, toczącego bójkę na potłuczone butelki w jakiejś knajpie przemytników w Gibraltarze. Wyszli z tego cudem, bo Nino, choć delikatny i pedał, był facetem wyjątkowo walecznym, kiedy się wstawił, i potrafił rozdzielać ciosy na lewo i prawo. Teraz Nino już nie żyje i nie musi się martwić starością ani emeryturą, ani niczym.

Emerytura... Hermami Tertsch zawsze wspominał o niej, kiedy jego język tracił pewność, około trzeciej whisky, po tym jak z przenośnego komputera przekazał już przez telefoniczny kabel materiał, który "El Pais" publikował następnego dnia. Hermann właśnie wydał książkę, w której objaśniał wojnę w byłej Jugosławii, i został awansowany na szefa działu opinii dziennika, co oznaczało odejście na emeryturę po podróżach i akcjach, po wielu latach spędzonych w Europie Środkowej. Był gościem ze szkoły austro-węgierskiej, podobnie jak Ricardo Estarriol z "Yanguardii" i mistrz nad mistrzami Francisco Eguiagaray, którego wszyscy taksówkarze ze wszystkich hoteli Europy Wschodniej pozdrawiali pełnym treści zdaniem: Szampan, dziewczyny, faktura, no problema. Chojny jak wielkie panisko, miły, z nostalgią odwołujący się do czasów cesarstwa, gotów płakać rzewnymi łzami, słysząc Marsza Radetzkiego, Paco Eguiagaray był wybitnym specjalistą od spraw tego regionu, niestety za swoje felietony dla telewizji, srodze antyserbskie w pierwszym okresie wojny, zapłacił odejściem na przedwczesną emeryturę. Czas jednak przyznał mu rację. "Wspólnie z Estarriolem i Tertschem przepowiedział dokładnie to, co później zdarzyło się na Bałkanach.

- Ci durnie z europejskich ministerstw spraw zagranicznych nie czytają historii.

Zazwyczaj opowiadał o tym, zapraszając na zimnego szampana w Wiedniu, Zagrzebiu czy Budapeszcie młodszych kolegów, lgnących do niego w poszukiwaniu wiedzy i doświadczenia. Lgnęli doń wszyscy oprócz Nini Rodicio, która ledwo po dwóch latach w aktywnym dziennikarstwie z poważnej stypendystki zmieniła się w studnię doświadczeń i nie potrzebowała niczyjej wiedzy, nie myliła nawet kalibru broni, nadawała wprost z pokładu bombowca B-52, a Marquez i inni kamerzyści pracujący z nią mieli spore kłopoty, żeby dawać sobie radę ze zdjęciami. Być może dlatego Nina Rodicio mówiła źle o Paco Eguiagarayu, o Alfonsie Rojo, o Hermannie i o wszystkich innych, i ludzi ze swojej ekipy traktowała haniebnie. Miguel de la Fuente, Fermm, Alvaro Benavent i ci wszyscy, którzy mieli zaszczyt przeżyć to na własnej skórze, mawiali, że praca z nią była tym samym, co praca z Avą Gardner.

Co do ludzi z ministerstw spraw zagranicznych, wspomnianych przez Paco Eguiagaraya, kiedy

przepowiadał czarną przyszłość Bałkanom, to byli oni zbyt zajęci ćwiczeniem przed lustrem uśmiechów i gestów współczucia, żeby zwrócić uwagę na jego słowa. Patrzymy na ten kryzys z umiarkowanym optymizmem, powiedział hiszpański minister spraw zagranicznych na kilka dni przed tym, jak Serbowie zaatakowali Vukovar. W tych dniach trzeba będzie podjąć odpowiednie kroki, oświadczyli jego europejscy odpowiednicy, kiedy w Sarajewie rozpoczął się drugi akt tragedii. Pośród słów i gestów spędzili trzy lata, zanim zareagowali, a ich reakcja polegała na szantażu bośniackich Muzułmanów i namawianiu ich, żeby zaakceptowali fakt dokonany - podział kraju. Wtedy jednak już nic nie mogło przywrócić dziewictwa zgwałconym dziewczynkom ani życia dziesiątkom tysięcy zabitych. Powstrzymaliśmy wojnę, mówili, kiedy wszystko i tak wydawało się zbliżać do końca, i wpychali się jedni przed drugich, żeby widać ich było na zdjęciu, jak osobiście malują niebieskie krzyże. Czterdzieści osiem z tych krzyży stanęło ku pamięci reporterów, w tym wielu starych kumpli Marqueza i Barlesa. I dobrze by było, żeby ministrowie, generałowie i rządy wykonywały swoje zadania, tak jak robili to oni: z tym samym zaangażowaniem i z tą samą przyzwoitością.

Barles zawsze wspominał Paco Eguigaraya i klan austro-węgierski w ich lennie - hotelu Explanade w Zagrzebiu. W odróżnieniu od Anglosasów, którzy lokowali się w hotelu Intercontinental, Hiszpanie woleli Explanade, należący do rodzaju starych hoteli europejskich, oprócz Manu Leguineche, który zatrzymywał się w Intercontinentalu z oszczędności, bo ciągle miał kłopoty z kasą. W Explanade obsługa była nienaganna, piwnica bogato zaopatrzona, panienki dyskretne i eleganckie. To właśnie tam w zimie 1991 Hermann Tertsch i Barles, po powrocie z obłązonego Osijeka, pili czarnogórskie wino Yranac - ostatnią butelkę - za pamięć Paco Eguigaraya. W Osijeku jedli kolację w restauracji na wolnym powietrzu podczas serbskiego bombardowania. Pociski przelatowały nad ogródkiem i spadały w pobliżu, oni jednak nie wstali od stołu, bo byli z nimi Marquez, Julio Fuentes, Maite Lizundia, Julio Alonso i grupa młodych dziennikarzy, których nie chcieli zawieść, tracąc zimną krew przed deserem. Barles powiedział do Hermanna zdanie, które z czasem weszło do żargonu specjalnych wysłanników: Jeszcze trzy bomby i spływamy. Skończyło się tak, że wszyscy biegli ulicą w ciemnościach pod ostrzałem moździerzy. Tej samej nocy granat moździerzowy eksplodował tak blisko hotelu, że w jego korytarzu odłamki i kawałki szkła pokryły plecy młodziutkiego redaktora z "ABC" a Julio Alonso spędził z nim wiele godzin w łazience, wyjmując jedną po drugiej drzazgi i odpryski wbite w ciało.

- Wyjątkowe szczęście - mówił Hermann, paląc i siedząc na bidecie. - Trafiasz na swoją pierwszą w życiu wojnę, zostajesz ranny, piszą o tobie wszystkie gazety i na dodatek twój tekst ląduje na pierwszej stronie... A my musieliśmy lata całe zarabiać na swoją reputację.

Chłopiec z "ABC" potakiwał głową, oszołomiony, wykrzykując tłumione aj!, kiedy Julio Alonso grzebał w jego plecach, wyciągając odpryski szkła.

- Widzisz, skarżysz się z przyzwyczajenia.

Hermann był szczupły, elegancki, bardziej wyglądał na dyplomatę niż na reportera. Nosił okulary w metalowych oprawkach i zawsze miał na sobie marynarkę i krawat, nawet na pierwszej linii ognia. Poznali się z Barlesem w sylwestrową noc 1989 w Bukareszcie, kiedy Securitate

masowo mordowała ludzi, a na ulicach wybuchła rewolucja. Tego dnia weszli do pałacu Ceausescu i Hermann zabrał sobie z prezydenckiej sypialni krawat - szeroki i okropny, nigdy go nie założył - i było tak zimno, że nogi marzły im na lodzie. Tak więc, żeby odpędzić złe duchy, wspólnie upili się jak rzadko kiedy. Impreza skończyła się przed świtem nocnym szaleńczym wyścigiem samochodowym: pędzili przez puste miasto między posterunkami kontroli i snajperami, przekazując sobie kolejno butelkę z samochodu do samochodu z Josemi Diazem Gilem, kamerzystą, i z Antonio Losadą, producentem z Telewizji Hiszpańskiej. Josemi Wesolek był chudy, nerwowy, odważny i przez całe życie się rozwodził. Miał wygląd ładnego Cygana i pewnego razu, kiedy kręcił reportaż o kobiecych więzieniach, więźniarki chciały go na miejscu zgwałcić. W poranek rewolucji całe stado przybyło do Bukaresztu po szalonej podróży przez Karpaty z Antonio Losadą za kierownicą; ślizgali się na oblodzonych drogach, między płonącymi barykadami i chłopami uzbrojonymi po zęby, którzy blokowali mosty swoimi traktorami i patrzyli na nich z wysokości siodełek, jak na filmach z Indianami. Antonio Losadą natomiast był mężczyzną wysokim, przystojnym, o wielkim sercu. W Bukareszcie biegał codziennie do lokalnej telewizji, żeby nadać materiał przygotowany dla dzienników, i zawsze wchodził i wychodził, czołgając się, bo wszyscy do niego strzelali. Nigdy wcześniej nikt do niego nie strzelał, ale tak się do tego przyzwyczaił, że nawet kiedy nie miał materiału, brał papierosy i whisky i szedł do rumuńskich techników, którzy go uwielbiali, i skończyło się tym, że chcieli go wyswatać z montażystką - bardzo ładną. Potem trafił do Bagdadu na noc amerykańskiego bombardowania, z Marquezem i Niną Rodicio, kiedy wszyscy poza Alfonsem Rój o i Peterem Arnettem czmychnęli, a Marquez płakał z wściekłości, ściskając kamerę, bo Nina Rodicio nie chciała zostać. Antonio Losadą był najlepszym producentem w TVE - mówił po angielsku, co wśród producentów w Torrespaña stanowiło wartość najwyższą - i był twardą sztuką, choć czasem mu odbijało i ładował się w kłopoty. Pewnego razu, kiedy spóźnił się na samolot i został w Budapeszcie, poszedł na jednego, a że się nudził, zaczął się bić sam ze stadem węgierskich goryli w dyskotecę, aż mu rozbili wargę. Następnego dnia pojawił się w Torrespaña z dwoma szwami na ustach, opuchnięty i szczęśliwy.

Zadzwięczały następne zbląkane kule i Barles dostrzegł, że Marquez uśmiechnął się lekko, dopalając papierosa. Znał go na tyle dobrze, że odgadywał jego myśli. Dzień z dobrym światłem, papieros, wojna.

- Lubisz to, sukinsynu.

Marquez zaczął się śmiać, tym swoim śmiechem przypominającym starą kołatkę, nie odpowiadając od razu. Potem odrzucił daleko niedopałek i patrzył, jak dymi w trawie.

- Pamiętasz Kukunjevaca? - zapytał wreszcie, jakby bez związku.

Barles jednak dobrze wiedział, że związek był.

Kukunjevaca to był rok 1991, podczas chorwackiej ofensywy, która miała doprowadzić do zdobycia serbskiej wioski. Było to w czasach, kiedy szło się do żołnierzy, mówiło: cześć i pracowało bez żadnych formalności. Szczęsiusetosobowy batalion posuwał się w dwóch rzędach po obu stronach drogi do odległej o cztery kilometry wioski. To była główna siła ataku, szpica, i

wszyscy wiedzieli, że czeka ich ciężkie zadanie; mimo że byli młodzi, nikt nie miał ochoty śmiać się ani żartować, kiedy Marquez zarzucił kamerę na ramię i zaczął pracować. Na początku zawsze udawał, że filmuje, żeby ludzie się przyzwyczaili i odzyskali naturalność i zaufanie. Nazywał to pracą w angielskim filmie. Ale tego dnia nie było to potrzebne. Kiedy spadły pierwsze bomby, niektórzy wyjęli pisaki i długopisy, żeby podczas marszu zapisać swoją grupę krwi na wewnętrznej stronie dłoni albo na przedramieniu.

Kukunjevac to była prawdziwa wojna. Dzień był szary, lekka mgła unosiła się nad zielonymi polami, w oddali płonęły jakieś kurniki. W miarę jak się zbliżali do wsi, ustawały rozmowy i komentarze, zapanowała cisza i słychać było tylko chrzęst kroków na żwirze drogi. Barles pamiętał, jak Marquez szedł w rzędzie po prawej, krok za krokiem, niosąc kamerę na ramieniu, ze spuszczoną głową, patrząc na buty żołnierza idącego przed nim; zatopiony w myślach albo skupiony jak wojownik przed bitwą. I rzeczywiście tak właśnie było. Czasem Marquez przypominał samotnego i posępnego samuraja, który sam sobie wystarcza i nie potrzebuje choćby jednego przyjaciela na świecie. Być może wszystko to, co jest człowiekowi niezbędne, co sprawia, że ma po co iść do przodu, on znajdował na wojnie.

Kukunjevac był tak trudny, jak się tego spodziewali; nawet bardziej. Na początku szedł oddział "Zebr", elitarnej jednostki złożonej z żołnierzy o głowach wygolonych w pasma, którzy zazwyczaj podczas walk zakrywali sobie twarze kominiarkami. Technika była prosta: podchodzili do domu, wyprowadzali na muszce ludzi ukrytych w piwnicy, kazali im iść przodem, jako ludzkiej tarczy, a domy po obu stronach drogi zaczynały płonąć. Jeden z żołnierzy podszedł do Marqueza i rzucił mu groźne no pictures, kiedy zauważył, że filmuje cywilów, resztę zdjęć musiał więc robić po kryjomu, z kamery na biodrze, jakby wcale nie filmował. Barles zawsze będzie pamiętał Kukunjevac poprzez zdjęcia Marqueza, które później, w sali montażowej w Zagrzebiu, inne ekipy telewizyjne oglądały we wstrząsającej ciszy. Grupa cywilów idących w przodzie z podniesionymi rękami, tulących się jedni do drugich, jak przestraszone stado. Żołnierze wystrzeliwujący serie płonące domy w tle. Pochyła droga, bo Marquezowi nie zawsze udawało się ustawić właściwie kamerę, żołnierze chroniący się za blachą pancerną osłaniającą działo kołyszące się z lewej na prawą w rytm kroków. Znowu szare, przestraszone stado. W oddali grzyb czarnego dymu pobliskiego wybuchu. Młody żołnierz krzyczący z bramy, postrzelony w brzuch, i inny w szoku patrzący w kamerę szklanym wzrokiem, podczas gdy ktoś tamuje czy próbuje zatamować - nie zostali dość długo, żeby to sprawdzić - intensywny krwotok z roztrzaskanego uda. I wieśniak w cywilnym ubraniu, bardzo młody, którego przesłuchuje zamaskowany zebra, bijąc go w twarz tak silnie, że głowa odwraca mu się z jednej strony na drugą, i chłopak sika po sobie ze strachu, a ciemna plama rośnie, spływając w dół po nogawce spodni.

Tak. Kukunjevac to była prawdziwa wojna i w żadnym Hollywoodzie nie udałoby się tego odtworzyć: szare niebo, żołnierze idący drogą, płonące domy. I poczucie zagrożenia, niezwykły smutek, samotność, które przekazywał obraz z przekrzywionej kamery Marqueza. Barles pamięta go idącego pośród żołnierzy, z kamerą na biodrze, bez wyrazu, z rozszerzonymi nozdrzami i przymkniętymi oczami, rozkoszującego się smakiem wojny. I był całkowicie pewny, że tamtego dnia, w Kukunjevacu, Marquez czuł się szczęśliwy.

IV POCZTÓWKI Z MOSTARU

- Stawiam dolara - powiedział Barles - że nie wysadzą mostu.

- Niech będzie ten dolar.

Marquez wyjął z kieszeni zmięty banknot i podał go. Zawsze stawiali tego samego dolara, przekazując go sobie zgodnie z wyrokami losu. Tylko raz zmienili walutę, w Mostarze, kiedy stawiali milion dinarów, że nie spadnie ani jedna, bomba między drugą i wpół do trzeciej. O drugiej siedem chorwacki moździerz trafił o jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie rozmawiali z porucznikiem hiszpańskich niebieskich hełmów, zabijając jednego cywila i raniąc dwóch innych. Marquez zapamiętał porucznika, jak podnosił jednego z rannych, podczas gdy obok nastąpiły dwa kolejne wybuchy. Porucznik był pokryty cudzą krwią, wszyscy myśleli, że on też dostał, i podobno kiedy jego żona zobaczyła wiadomości, przeraziła się śmiertelnie. Już po wszystkim Barles poszedł w Mostarze do banku, którego ruiny pokryte były banknotami nieistniejącej już Federacji Jugosłowiańskiej, odliczył milion w paczkach po tysiąc i dał je Marquezowi, żeby spłacić honorowy dług.

Mostar. Widzieli zniszczony podczas bombardowania szesnastowieczny most w dawnej dzielnicy tureckiej, położonej nad rzeką, gdzie jeszcze na początku wojny można było wypić kawę w jednym ze starych sklepików na targu. Teraz samo zbliżenie się do tych okolic było niebezpieczne, bo cały czas strzelały moździerze i polowali snajperzy. Marquez i Barles szukali dobrego miejsca, jakiegoś w miarę chronionego rogu i ustawiali się tam z przygotowaną kamerą, filmując przebiegających ludzi, do których strzelano z drugiej strony rzeki. Od czasu do czasu spadał pocisk wystrzelony z moździerza. Pociski te są niebezpieczne, bo między domami nie słychać, jak się zbliżają i nagle spadają na głowę, co spotkało Marca Luchette, D'Angelo i brodatego kamerzystę, Alessandra Otte, trzech Włochów z RAI, którzy tydzień później, w styczniu 1994 wyszli z opancerzonego samochodu dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Marquez fotografował porucznika. Tym razem pocisk spadł dziesięć metrów bliżej, nadając im kolejne numery 46, 47 i 48 w spisie dziennikarzy zabitych w Bośni. Barles i Marquez znali Alessandra i jeszcze lepiej Marca, który kiedyś pokazywał im w hotelu Anna Maria w Medugorje zdjęcia swoich dwóch synów; był to ten sam hotel, z którego wyjechali tamtego poranka, żeby przejść na drugą stronę frontu i nigdy już nie wrócili, zostawiwszy w pokojach sprzęt i swoje rzeczy, i niezapłacony rachunek. Bo wszyscy zabici reporterzy zostawiają w hotelach niezapłacone rachunki, brudne koszule w szafie, mapę przypiętą pinezkami do ściany i butelkę whisky na nocnej szafce.

Tak. Barles wiedział z doświadczenia, że moździerze są bardzo złośliwe. I niech temu zaprzeczy owych siedemdziesięciu nieszczęsnych zabitych od jednego wybuchu dwa tygodnie później na targu w Sarajewie. Albo ci, którzy stali w kolejce po wodę w Mostarze. Kolejki po wodę, chleb czy cokolwiek, wszelkiego rodzaju ludzkie skupiska, były ulubionym celem snajperów strzelających nabojami rozpryskowymi. Naboje te należą do katechizmu snajperów, razem ze starą zasadą, że nigdy nie wolno zabić pierwszej ofiary pierwszym strzałem. Wy tłumaczył to Barlesowi i Marquezowi pewien bośniacki snajper w starej części Sarajewa: bardziej opłaca się strzelać w części ciała takie jak ręce i nogi, żeby leżeli i wykrwawiali się, a naprawdę polować na ludzi, którzy niosą pomoc.

Dopiero na koniec dobić ostatnim strzałem w głowę. Potem sfilmowali snajpera demonstrującego to w praktyce i dowiedzieli się, że czasem, jak się ma szczęście, można trafić w głowę i tak uszkodzić mózg, żeby nadal wysyłał impulsy i kiedy ciało jeszcze się porusza, a ludzie myślą, że ranny żyje, idą po niego i wtedy - bang!

Miguel Gil Moreno bardzo się wówczas w Mostarze oburzył, kiedy mu o tym opowiedzieli. Miguel był barcelońskim adwokatem, który zamienił tożsamość na dziennikarstwo i przejeżdżał z jednej strony frontu na drugą motorem terenowym z silnikiem 650 cm³. To była jego pierwsza wojna i wszystkim bardzo się przejmował, bo był w tym wieku, kiedy dziennikarz jeszcze wierzy w dobrych i złych, traci głowę dla spraw przegranych - i kobiet, i wojen. Był odważny, dumny i uprzejmy: nigdy nikogo o nic nie prosił, do wszystkich zwracał się per pan i bardzo uważał na słowa. Miguel załatwił sobie akredytację, nikt nie wie w jaki sposób, jako korespondent czasopisma "Tylko Motocykl" i przysyłał świetne korespondencje

z pierwszej linii dla "El Mundo" i dla dzienników regionalnych, wykorzystując do tego satelitarne telefon Czwartego Korpusu Armii. Kiedy inni dziennikarze opowiadali o wojnie z hotelowych pokoi w Medugorje, Splicie czy Zagrzebiu, on niemal cały czas mieszkał w Mostarze, często wyjeżdżał i wracał z lekarstwami i jedzeniem dla dzieci. Można go było spotkać wśród ruin - zielona chustka wokół głowy, wysoki, chudy i nieogolony, z zaczerwienionymi oczami i spojrzeniem, jakie ma człowiek po przebiegnięciu najdłuższych tysiąca metrów swojego życia; tysiąca metrów, które na zawsze będą go dzieliły od tych, do których nikt nigdy nie strzelał. Miał przezwisko Mudzahedin, bo przez swoje ciemne włosy i orli nos bardziej wyglądał na Muzułmanina niż sami Bośniacy. Potem, kiedy zostawał bez grosza, pozwalali mu zadzwonić z satelitarne telefonu TVE do domu, do matki, która zawsze robiła mu przeraźliwe awantury.

Dziwni ludzie. Wojny zawsze były pełne dziwnych ludzi. Jak Heidi, niemiecka dziennikarka, która karmiła okruchami chleba gołębie na placu Bascarsija i wściekała się, kiedy wybuchy bomb je płoszyły. Albo Florent, francuski fotograf, przystojny jak model od Armaniego, starający się za wszelką cenę, żeby go trafili, bo narzeczona w Paryżu zdradziła go, podczas kiedy on nadstawiał głowę w Sarajewie; zrozpaczony chodził po Sniper Avenue, czekając, aż go trafią, a Gervasio Sanchez i kumple z daleka robili mu zdjęcia teleobiektywem, na wszelki wypadek. Jednak snajperzy olewali go. Dziwni ludzie, jak Antioco Lostia, z "Corriere", mediolańczyk tak wielki, że jego kamizelka kuloodporna przypominała kuloodporny stanik, miał zęby jak królik i włosy ścięte na jeża; jeśli do jakiegoś pokoju w hotelu Holiday Inn wpadał pocisk, Antioco skreślał go z listy, którą nosił w kieszeni, jakby to był kartonik do bingo. Kiedyś urządził wielką imprezę z tej okazji, że przeleciał najładniejszą tłumaczkę w hotelu, i całe towarzystwo, łącznie z samą tłumaczką, spotkało się w hotelowej restauracji otwartej na tę uroczystość za sprawą dolarów, i wszyscy razem jedli konserwy i spaghetti, a serbskie pociski spadały na ulice.

Dziwni ludzie, jak banda Julia Alonso, ekipa pracująca dla różnych telewizji, towarzystwo zawsze zaćpane i dźwigające olbrzymią butlę whisky: Maria Portugalka, korespondentka radiowa, która śpiewała fados i negro spirituals, kiedy się upiła; Pinto, reporter, gwiazda Telewizji Portugalskiej, mimo że był zdrowo rąbnięty; Petit Francuz, turysta, który przyjechał do Sarajewa

renówką 4L, żeby zobaczyć, jak wygląda wojna i postanowił zostać; i sam Julio, który pracował w Telewizji Hiszpańskiej dla "Przeglądu Tygodnia" do czasu, kiedy postanowił się uniezależnić. Ciągnął się za nimi cały orszak wolnych strzelców, zwariowanych poszukiwaczy przygód, dziwek - Pinto kochał jedną - i lokalnych tłumaczy, a wszyscy pakowali się w sam środek awantur w rozwalającym się samochodzie, podziurawionym przez kule i wypełnionym pustymi butelkami, z magnetofonem na cały regulator, i zawsze kompletnie pijani i nadal pijący. Kiedyś Maria Portugalka poprosiła Fernanda Mugikę o zgodę na wykapanie się w jego pokoju w Holiday Inn, a potem zasnęła w łóżku kompletnie naga, leżąc na plecach. Miała wspaniałe piersi, kiedy więc Mugica tak ją zastał, poszedł po Barlesa i cały wieczór przesiedzieli na wprost łóżka, pijąc i gadając, równocześnie podziwiając pejzaż.

Banda Julia Alonso stała się legendą w plemienu specjalnych wysłanników. Wszyscy jej członkowie byli kompletnie szaleni, ale dużo pracowali i mieli niesamowite szczęście. Kiedyś w Osijeku Julio stał z kamerą na ramieniu, filmując dach, na który dziesięć sekund wcześniej spadł pocisk, a po chwili wybuchł dokładnie w tym samym miejscu następny i wszystkie dachówki spadły wprost na niego, i wyszły mu zdjęcia - jak sam to nazwał, strzepując z siebie pył - zajebiste. Innym razem Petit Francuz prowadził kompletnie naćpany, pomylił drogę i wpakował ich wszystkich w sam środek frontu pod Dobrinją, gdzie nie odważyły się pojawiać nawet niebieskie hełmy. Nikt jednak nawet do nich nie strzelił. Wszyscy - Serbowie, Chorwaci i Muzułmanie - byli zbyt zdziwieni, żeby zareagować, kiedy patrzyli na bandę wariatów, którzy kłócili się i ruszali to w tył, to w przód, na środku pola bitwy, wyrzucając przez okno puste butelki po whisky J&B na pełne min pola. Jorge Melgarejo, który w przypiływie chwilowej psychicznej alienacji wybrał się z nimi tego dnia, pocił się jak mysz na samo wspomnienie. Jorge był drobnym człowieczkiem, otwartym i odważnym, nakładającym hotelowy ręcznik na hełm, żeby nie przypominać wojskowego. Malutki, zawsze się uśmiechał i nosił hełm w rozmiarze L, przez co wyglądał jak sympatyczny grzybek. Był fanatykiem motocykli i rozwodów i z własnej kieszeni utrzymywał sierociniec w Afganistanie. Któregoś razu stał z mudżahedinami na przedmieściu Kabulu, kiedy obok rozerwał się rosyjski granat i spadły na niego ciała czterech zabitych Afgańczyków, on jednak nie doznał nawet zadraśnięcia. W każdym razie, jak mawiał korespondent agencji EFE Enrique Ibanez, pociągając starą fajkę, którą dostał w prezencie od Arafata w Bejrucie, Jorge był reporterem hiszpańskiej sekcji Radia Watykańskiego i w jego przypadku cuda nie liczyły się, bo były zasługą firmy.

Minęło piętnaście minut, a most nadal stał nietknięty. Marquez sprawdził wskaźnik baterii i głośno zaklął. Pewnie przez to, że w hotelu raz po raz gasło światło, baterie szybciej się rozładowały.

- Idę do samochodu - powiedział Barles.

Wstał i poszedł drogą w kierunku zagrody, do ciemnych sylwetek budynków widocznych za pierwszym zakrętem. Jadranka, chorwacka tłumaczka, siedziała w nissanie zwróconym w przeciwnym kierunku niż most, na wypadek gdyby tak się zdarzyło, że trzeba wiać jak najszybciej. Zawsze zostawiali go w ten sposób od dwóch lat, kiedy w Górne Radici wybuch pocisku z moździerza zaskoczył ich z samochodem stojącym w poprzek drogi. Marquez, Alvaro Benavent,

Maite Lizundia i Jadranka rzucili się do parowu, a Barles, któremu w czasie wybuchów kolejnych pocisków ze strachu drżały ręce, manewrował metr do tyłu, metr do przodu, żeby odwrócić auto, aż wszyscy biegiem wsiedli i odjechali na pełnym gazie.

Na tylnym siedzeniu w nissanie leżały ciężkie materiały: zapasowe baterie i taśmy, mikrofony, statywy, kable i narzędzia razem z kanistrami ropy, apteczka pierwszej pomocy i kartonami papierosów Marqueza. I dwa pudełka po szkockiej whisky słodowej pełne kaset z muzyką, która towarzyszyła im w długich przejazdach: Sinnead O'Connor, Manolo Tena, The Platters, Bangles, Joe Cocker, Concha Piquer, Madonna. Nissan był samochodem opancerzonym, z oponami niewrażliwymi na przestrzelenie i kewlarową osłoną podwozia zabezpieczającą przed skutkami eksplozji min. Kosztował dwadzieścia milionów peset i Barles zastanawiał się, kto w dziale administracji Telewizji Hiszpańskiej, gdzie wszyscy w przypadku wydania choćby jednej dodatkowej pesety stawali się wyjątkowo nieprzyjemni, wpadł w stan euforii alkoholowej niezbędnej do podpisania zgody na taki wydatek. Zdrowie fizyczne czy wygoda korespondentów nie były sprawami, które spędzałyby sen z powiek księgowym w Torrespaña, gotowym do targowania się o wysokość rachunku za kolację wigilijną w Sarajewie czy żądającym faktury na pięćdziesiąt dolarów, którymi przekupiłeś jakiegoś celnika. Kiedy się rozliczałeś z wydatków, rozmowa zawsze wyglądała tak samo:

- Co to znaczy: wydatki różne, dwieście dolarów?

- To znaczy dokładnie wydatki różne: kilka napiwków, parę litrów ropy, kilka jajek na czarnym rynku...

- Coś nie widzę rachunku za ropę.

- Tam jest wojna, wiesz? Ludzie nie mają rachunków. Ludzie nic nie mają.

- No a te jajka?

- Postanowiliśmy sprawić niespodziankę Marquezowi, bo miał urodziny... Kupiliśmy sześć jajek, żeby upiec placek, a w Sarajewie każde jajko kosztuje dziesięć marek.

- Jedno jajko tysiąc peset?!

- Prawie.

- No to Telewizja Hiszpańska nie będzie wam płacić za te jajka.

- Nie bądź sukinsynem, Mario.

- Muszę, takie są przepisy. Dostaliśmy zarządzenie, że mamy oszczędzać, bo inaczej szefowie będą mieli kłopoty w parlamencie... A ty tutaj napisałeś: czterdzieści dolarów za kanister ropy skonfiskowany przez Serbów. Nie opisałeś, dlaczego i w jakich okolicznościach został

skonfiskowany.

- Pewien skurwysyn przystawił mi lufę do skroni. Bo w Bośni jest mnóstwo skurwysynów. Prawie tylu, co w Telewizji Hiszpańskiej.

W lęku przed damoklesowym mieczem kontroli i z wyrzutami urzędniczego sumienia, nadzorowani przez biurokratów, którzy nie mają pojęcia, co to jest telewizja czy dziennikarstwo, podpisywali rozliczenia, zgrzytając zębami i woleli fałszywe pokwitowania niż szczerą prawdę: że na wojnie możesz poruszać się jedynie rozdając pieniądze na lewo i prawo, i nie ma ani czasu, ani możliwości, ani chęci, żeby prosić o rachunki. Kiedy spadają bomby, wszystko przestaje działać: nie ma postojów taksówek ani telefonów, ani ciepłej wody, ani stacji benzynowych. Nie ma otwartych sklepów ani światła na skrzyżowaniach, ani policjantów, i jeszcze strzelają do ciebie. Kierowca może zażądać dwudziestu pięciu tysięcy za to, że przewiezie cię dziesięć kilometrów przez strefę ostrzału snajperów, puszka konserwy kosztuje tysiąc albo dwa tysiące peset, a w zimie kilogram drewna - dwieście marek. Jeśli ktoś chce się poruszać na wojnie i pracować, nie ma innego wyjścia jak zadawać się z przemytnikami i podejrzanymi typami. Trzeba ludzi przekupywać, zaopatrywać się na czarnym rynku, wynajmować kradzione samochody albo kraść je osobiście. I spróbuj to wytłumaczyć kanapowemu gryzipiórkowi, który czeka do szóstej, żeby wrócić do domu i obejrzyć mecz. Aby usprawnić procedury, Barles zawsze przywoził stertę kwitów in blanco, które wypisywał, jak chcieli, by unikać dyskusji. Chcecie rachunek? No to go macie! Kiedyś poprosił swoją dziewięcioletnią bratanicę - żeby nie na wszystkich kwitach był ten sam charakter pisma - o wypisanie w murzyńskim serbsko-chorwackim pokwitowania o treści: taksówka na trasie Sarajewo-Split-Pipsztyczkowo. W podpisie: Radovan Miloszević Tudžman. Księgowym było wszystko jedno, byle tylko był papier, którym można się podeprzeć. Okopani za swoimi biurkami, dalecy od jakiegokolwiek pola walki, za prawdziwy sukces uważali obniżenie o pięć tysięcy peset rozliczenia dwóch, trzech milionów. Woleli wydawać forszę na kampanie wyborcze, dawać kontrakty panienkom z dużym biustem, zamawiać nagrania u futurologów albo finansować programy takie jak "Sensacje naszych czasów" czy "Pierwszy kodeks" jakiegoś Reverte.

Kiedy Barles dotarł do zagrody, dostrzegł właściciela stojącego przy płocie obok wejścia. Był to ciemny, krzepki Chorwat, którego spotkał zaraz po przyjeździe; kłócił się wówczas z żołnierzami, bo nie chciał opuścić domu. Teraz patrzył niespokojnie na drogę i most.

- Sytuacja zła? - zapytał Barlesa w okropnym angielskim.

- Złe - odpowiedział mu. - Bijelo Polje kaput. Ja na pana miejscu zabrałbym rodzinę i zwiewał.

Rodzina wystawiała usmarowane buzie poprzez sztachety płotu: była to para jasnowłosych dzieciaków w wieku od sześciu do ośmiu lat. Na podwórzu, przy dwóch krowach i starym zardzewiałym traktorze krzątała się wieśniaczka, też jasnowłosa, młoda, a na progu siedziała staruszka.

Barles podszedł do płotu i poczęstował Chorwata papierosem. Sam nie palił, ale w

kieszeniach kamizelki nosił - razem z latarką, notesem, długopisami, mapą, dolarami, markami, aspiryną, szwajcarskim nożem, zapalnikami w prezerwatywie, pastylkami uzdatniającymi wodę, magnetofonem, podręczną apteczką, pharmatonem complex, gumową żyłką do tamowania krwi, radiem Sony ICF/SW - paczkę marlboro do częstowania; był to dobry sposób na przełamywanie pierwszych lodów. Chorwat podziękował mu skinieniem głowy i wyjmując papierosa dotknął dłoni dziennikarza szorstkimi palcami. Czuć było zapach potu i ziemi.

- Bardzo martwić - powiedział, wypuszczając dym i wskazał na dzieci. - Duży problem.

W kilku słowach wytłumaczył Barlesowi, jak wygląda sytuacja: nie chciał zostawić domu, bo się bał, nie bez racji, że splądrują go albo i podpalą, widząc, że jest opuszczony. Dwadzieścia lat, wyjaśnił, pracował w Niemczech, żeby zainwestować tutaj oszczędności całego życia. Przez jakiś czas myślał, że uda mu się pozostać z boku: jego ojczyzną był ten kawałek ziemi, który go żywił. Teraz jednak wojna stuknęła do jego drzwi. Walczył w nim strach o rodzinę i strach, że straci wszystko, że zmieni się w jeszcze jednego z tysięcy uciekinierów, błąkających się po centralnej Bośni.

- Nie wierzyć HVO wycofać się nigdy - zakończył. Potem położył dłonie na głowach dzieci. - Myśli pan, że Muzułmanie dotrzeć tutaj?

Barles wzruszył ramionami.

- Jeśli nie wysadzą mostu, to tak.

- A jeśli wysadzą most?

- To może tak, a może nie.

Położenie tego człowieka zasmuciło go, ale nie bardziej niż sytuacja innych nieszczęśników, których spotykał każdego dnia. Właściwie ten jeszcze jest młody i może zacząć od nowa, jeśli uda mu się teraz ocalić życie. Wielu innych, jak staruszek od pocztówek, nie mogło już zaczynać od początku.

Staruszka poznali w muzułmańskiej części Mostaru przed rokiem, kiedy Bijelo Polje znajdowało się jeszcze daleko od wojny, a chorwacki wieśniak, który teraz patrzył z lękiem na most, miał wtedy głęboko w nosie Mostar i resztę świata. Staruszek pojawił się jakiegoś poranka, kiedy na parę godzin ustawały bombardowania. Cisza zapadała wtedy jak coś dziwnego, niezwykłego, a spośród ruin wyłaniali się mężczyźni, kobiety i dzieci, przypominający brudne zjawy. Był właśnie taki poranek, ciepłe słońce obrysowywało czarne szkielety budynków, a w powietrzu czuło się charakterystyczny zapach miast w czasie wojny: spalone drewno, cegły, popiół i substancje organiczne - odpadki, zwierzęta, ludzkie istoty - gnijące pod ruinami. Tego zapachu nie spotyka się nigdzie indziej i towarzyszy ci on przez wiele dni, utrwalony w nosie i w ubraniach, choćbyś się kąpał dwadzieścia razy i nie wiadomo, jak dawno wyjechał. To był taki ranek, kiedy kosa odpoczywa, ale już ją ostrzą; Barles i Marquez siedzieli w drzwiach jakiejś ruiny, ciesząc się spokojem chwilowego rozejmu, z egoistyczną radością płynącą z posiadania w kieszeni biletu

lotniczego, który wcześniej czy później pozwoli ci powiedzieć: dość tego, i pojechać w miejsce, gdzie możesz spokojnie pić piwo i patrzeć na przechodniów i ładne dziewczyny, do których nikt nie strzela. Był taki właśnie dzień i Barles myślał o tym, że nie można w ciągu półtorej minuty korespondencji dla wiadomości przekazać tego, co człowiek czuje, kiedy w ruinach domu - pośród połamanych mebli, brudnych firanek podartych na strzępy, pod obrazem na ścianie przeciętym seria z karabinu - naraz znajduje na ziemi album z rodzinnymi zdjęciami, wdeptanymi w popiół, zdeformowanymi przez deszcz i słońce. Jakiś mężczyzna uśmiecha się do obiektywu. Staruszek z trzema dziewczynkami na kolanach. Kobieta, jeszcze młoda, ładna, o zmęczonych oczach i uśmiechu dalekim i smutnym, jakby kryła w sobie złe przeczucia. Dzieci na plaży, w kamizelkach i z wędkami. Grupa osób wokół świątecznej choinki, wśród których można rozpoznać dzieci, staruszka i kobietę o smutnym spojrzeniu.

Ten dzień ze zdjęciami był właśnie jednym z takich dni w Mostarze, a Barles i Marquez siedzieli między zgliszczami, nie odzywając się słowem. Wtedy podszedł do nich mężczyzna w podkoszulku i kapciach, muzułmański staruszek, trzymający w ręku małą paczkę pocztówek, i opowiedział im swoją historię, podobnie jak przed chwilą Chorwat w zagrodzie. Też nie była to opowieść wyjątkowa: zaginiony syn, chora żona leżąca w piwnicy, dom po drugiej stronie miasta. Wspomnienie zamaskowanych mężczyzn, którzy pojawili się nocą: wstawać, wynosić się, na dwór, za most, do innego sektora miasta. Strzały, i prerażeni

staruszkowie uciekają w ciemności, bez chwili czasu, by pomyśleć, że odchodzą na zawsze.

Kiedy staruszek zakończył opowieść, pokazał im pocztówki, pobrudzone od wielokrotnego przekładania. Popatrz, przyjacielu, taki był Mostar dawniej. Zobacz, jakie ładne miasto. Średniowieczny most, strome ulice. Dwie zabytkowe wieże. Już nie ma wież, finito. Skończyło się. Tego budynku też już nie ma. Mostu też nie ma. Nema nishta, nie ma nic. Wszystko kaput, rozumiesz? Popatrz, tu stał mój dom. Ładny plac, prawda? Staruszek wskazuje na drugą stronę miasta. Tam stał, w tamtej części. Miał dwieście lat, zobacz na pocztówce. Nic me zostało. Pałac, budynek, fontanna. Wszystko zniszczone. Wszystko zlikwidowane. Wszystko...

- Wszystko w pizdu - walnął Marquez. Staruszek przez chwilę milczał. Potem westchnął i zanim odszedł, ułożył ostrożnie, z niezwykłą czułością, plik pocztówek, czyli to wszystko, co pozostało z jego miasta i ze wspomnień.

- Barbarii - usłyszeli jego cichy głos. - *Ne ma istorije.*

Odszedł, a oni patrzyli, jak znów pochłaniają go miasto i wojna.

Od strony Bijelo Polje rozległ się huk i wieśniak odwrócił się w tamtym kierunku przestraszony. Dzieci roześmiały się. Barles spojrzał w stronę sieni, gdzie kobieta trzymała za rękę staruszkę i obserwowała ich.

- Ona powinna odejść - powiedział. - Razem z dziećmi.

Chorwat zacisnął dłonie. Przynajmniej od tygodnia się nie golił, oczy miał zaczerwienione z braku snu.

- Nie może odejść sama - odpowiedział. - Nie miałby kto się nią zaopiekować.

Barles zrobił minę, w której nie było litości. Widział już zbyt wiele płonących muzułmańskich zagród, zbyt wielu muzułmańskich wieśniaków z poderżniętym gardłem leżących na polu kukurydzy, zbyt wiele muzułmańskich kobiet skulonych w kącie ze wzrokiem ранego zwierzęcia. Widział też dziewczynę w odświętnej sukience, zabita i włożoną do bagażnika volkswagena golfa, której gołe nogi zwisały nad zderzakiem. I dziesięcioletnią dziewczynkę, zabita strzałem w głowę, jak leżała w kałuży krwi na środku pokoju w swoim domu - niesamowita jest ilość krwi, jaka mieści się w tak małej dziewczynce. Wszyscy - Barles czasem myślał, że nawet on sam - mają zbyt wiele rachunków do wyrównania na tej wojnie, gdzie kobiety są smutne, a mężczyźni zbyt podli. Prawie nigdy nie starał się tego wyjaśnić. Jest dziennikarzem i kiedy pracuje, najważniejsi są wydawcy. Analizy pozostawiał kolegom w krawatach w redakcji albo ekspertom, wyjaśniającym czynniki geostrategiczne przed wielkimi kolorowymi mapami, i ministrom, którzy prezentują uśmiechy w dzienniku o trzeciej, bardzo zajęci w Brukseli, i mówią zawsze w liczbie mnogiej: zrobiliśmy, będziemy, nie możemy tolerować. Dla Barlesa świat był dużo prostszy: tutaj bomba, tu zabity, tu skurwysyn. Naprawdę zawsze polega to na tym samym barbarzyństwie: od Troi do Mostaru czy Sarajewa, zawsze jest to ta sama wojna. Kiedyś powiedział to w Salamance na wykładzie dla studentów dziennikarstwa, którzy robili notatki z oczami okrągłymi jak spodki, gdy opowiadał o cenie dziwek w Manili, tłumaczył, jak uruchomić ukradziony samochód albo jak przekupić irackiego policjanta, a wykładowcy patrzyli na niego nieufnie, z niepokojem zastanawiając się, czy na pewno zaprosili odpowiednią osobę. To zawsze jest ta sama wojna, powiedział. Kiedy rzecz działa się w Troi, byłem jeszcze mały, ale przez ostatnie dwadzieścia lat widziałem co nieco. Nie wiem, co wam powiedzą inni, ale ja tam byłem i przysięgam, że wojna jest jedna: jakieś nieboraki w rozmaitych mundurach strzelają do siebie, umierając ze strachu, w dziurach pełnych błota, a ważny sukinsyn siedzi i pali cygaro w klimatyzowanym biurze, gdzieś bardzo daleko, wymyśla flagi, hymny narodowe i pomniki nieznanego żołnierza, nie brudząc się krwią ani gównem. Wojna to biznes dla sprzedawców i generałów, drogie dzieci. Cała reszta to balach.

Co do Bałkanów - tłumaczył Barles w Salamance swojej przyszłej konkurencji, prawie samym dziewczynom; to niewiarygodne, ile młodych kobiet chce zostać dziennikarkami - zawsze był to rejon graniczny. W tym miejscu kiedyś przecinały się linie konfrontacji między imperium austro-węgierskim i tureckim, a ludność mieszkająca po obu stronach przez wieki grała rolę katów i ofiar w rozmaitych tragediach, które zgotowała Historia. - Dziewczyny w pierwszych rzędach notowały pilnie i Barles postanowił zadać im trochę bobu. - Wiecie, jak to jest: żołnierze i urzędnicy cesarscy, uciekinierzy chroniący się po drugiej stronie, chrystianizowani muzułmanie, islamizowani chrześcijanie, Turcy, którzy przelatywali młodzieńskich chrześcijan, i temu podobne.

- Przestały notować, pani dziekan niespokojnie spojrzała na zegarek. - To były wojny w klasycznym stylu: represje, wyrzynane narody, gwałcone kobiety, palone zbiory. Rany, które krwawią do dzisiaj. Pomyślcie, zaledwie sto lat temu Sarajewo było miastem tureckim. W Europie stopy

inkwizycji, zdobycie Grenady, ofiara stu panien, noc św. Bartłomieja, spiski bojarów, Crecy, Waterloo, rozbitkowie Niezwyciężonej Armady zamordowani na wybrzeżach Irlandii, drugi maja, to wszystko są sprawy odległe, przesiane przez sito czasu, zaakceptowane jako część przeszłości, która nie ma żadnego fizycznego związku z teraźniejszością. A na Bałkanach wspomnienia są żywsze. Pradziadkowie ludzi, którzy teraz walczą, zabijali się w imię Porty Otomańskiej albo cesarskiego Wiednia. Konflikt serbski był zarzewiem pierwszej wojny światowej, a podczas drugiej potworności czynione przez chorwackich ustaszów z jednej, a serbskich czetników z drugiej strony odświeżyły tradycję krzywdy i krwi. Tam w każdej rodzinie znajdzie się pradziadek zarżnięty przez Turków, dziadek zabity w okopach w 1917 roku, ojciec rozstrzelany przez nazistów, ustaszów, czetników czy partyzantów. A od trzech lat dochodzi do tego siostra zgwałcona przez Serbów w Vukovarze, syn torturowany w Mostarze przez Chorwatów, kuzyn zarąbany przez Muzułmanów w Górni Vakuf. Tam - mówił Barles swoim młodym słuchaczom - każdy sukinsyn ma pełną jasność, wszystko jest bardzo świeże. Dlatego Bałkany weszły w wiek dwudziesty zbroczone krwią i tak samo wejdą w wiek dwudziesty pierwszy, choćby minister Solana opowiadał wam najpiękniejsze bajki. Serbski nacjonalizm, wszyscy jego ideologowie-intelektualiści, starający się umywać ręce teraz, kiedy widzą zbrodnie Miloszevicia i Karadžicia, do których sami doprowadzili, obudzili te duchy, żeby stawić czoło tym, którzy nie chcieli wojny. I ten tak zwany Zachód, to znaczy wy i ja, daliśmy na to przyzwolenie. Zostały zastosowane najbrudniejsze metody przy milczącej zgodzie Europy, niezdolnej, żeby walnąć pięścią w stół i postawić tamę temu barbarzyństwu. Europejska dyplomacja, bezwstydną i tchórzliwą, nagradzająca serbską agresję bezkarnością, jakby chciała ożywić zmarłego przyklejaniem plastrów, doprowadziła do tego, że najpierw Chorwaci, a potem bośniaccy Muzułmanie też wsiedli na wózek etnicznej czystki i rzezi. Ponieważ skurwysyństwo popłaca, pomyśleli, bądźmy raczej kanaliami niż pokornymi ofiarami pędzonymi na rzeź. Potem podłość ludzkiej natury rozprzestrzeniła się błyskawicznie i dokonała reszty roboty, i tak sprawy wyglądają. Właśnie wam opowiedziałem, co się dzieje w Bośni, drogie dzieci. A raczej drogie dziewczynki. Wszystkiego najlepszego. gwałcone kobiety, palone zbiory. Rany, które krwawią do dzisiaj. Pomyślcie, zaledwie sto lat temu Sarajewo było miastem tureckim. W Europie stopy inkwizycji, zdobycie Grenady, ofiara stu panien, noc św. Bartłomieja, spiski bojarów, Crecy, Waterloo, rozbitkowie Niezwyciężonej Armady zamordowani na wybrzeżach Irlandii, drugi maja, to wszystko są sprawy odległe, przesiane przez sito czasu, zaakceptowane jako część przeszłości, która nie ma żadnego fizycznego związku z teraźniejszością. A na Bałkanach wspomnienia są żywsze. Pradziadkowie ludzi, którzy teraz walczą, zabijali się w imię Porty Otomańskiej albo cesarskiego Wiednia. Konflikt serbski był zarzewiem pierwszej wojny światowej, a podczas drugiej potworności czynione przez chorwackich ustaszów z jednej, a serbskich czetników z drugiej strony odświeżyły tradycję krzywdy i krwi. Tam w każdej rodzinie znajdzie się pradziadek zarżnięty przez Turków, dziadek zabity w okopach w 1917 roku, ojciec rozstrzelany przez nazistów, ustaszów, czetników czy partyzantów. A od trzech lat dochodzi do tego siostra zgwałcona przez Serbów w Vukovarze, syn torturowany w Mostarze przez Chorwatów, kuzyn zarąbany przez Muzułmanów w Górni Vakuf. Tam - mówił Barles swoim młodym słuchaczom - każdy sukinsyn ma pełną jasność, wszystko jest bardzo świeże. Dlatego Bałkany weszły w wiek dwudziesty zbroczone krwią i tak samo wejdą w wiek dwudziesty pierwszy, choćby minister Solana opowiadał wam najpiękniejsze bajki. Serbski nacjonalizm, wszyscy jego ideologowie-intelektualiści, starający się umywać ręce teraz, kiedy widzą zbrodnie Miloszevicia i Karadžicia, do których sami doprowadzili, obudzili te duchy, żeby stawić

czoło tym, którzy nie chcieli wojny. I ten tak zwany Zachód, to znaczy wy i ja, daliśmy na to przyzwolenie. Zostały zastosowane najbrudniejsze metody przy milczącej zgodzie Europy, niezdolnej, żeby walnąć pięścią w stół i postawić tamę temu barbarzyństwu. Europejska dyplomacja, bezwstydna i tchórzliwa, nagradzająca serbską agresję bezkarnością, jakby chciała ożywić zmarłego przyklejaniem plastrów, doprowadziła do tego, że najpierw Chorwaci, a potem bośniaccy Muzułmanie też wsiedli na wózek etnicznej czystki i rzezi. Ponieważ skurwysyństwo popłaca, pomyśleli, bądźmy raczej kanalami niż pokornymi ofiarami pędzonymi na rzeź. Potem podłość ludzkiej natury rozprzestrzeniła się błyskawicznie i dokonała reszty roboty, i tak sprawy wyglądają. Właśnie wam opowiedziałem, co się dzieje w Bośni, drogie dzieci. A raczej drogie dziewczynki. Wszystkiego najlepszego.

- Gdyby żona odeszła beze mnie, nie miałby kto się nią zaopiekować - powtórzył Chorwat.

Barles popatrzył na tępą i ponurą twarz stojącego przed nim człowieka. Miał go dosyć, miał dosyć jego żony i jego zagrody. Miał dosyć tłumaczenia, dosyć słów. Tak czy inaczej, Bijelo Polje leży zbyt daleko od wszelkich wydziałów dziennikarstwa. Tutaj słowa są zbędne.

- Jeśli Armija tu dotrze - powiedział, podejmując ostatnią próbę - też nikt się nią nie zaopiekuje.

Mężczyzna odwrócił głowę i patrzył na swoją żonę. Potem, jakby zawstydzony, opuścił głowę i ręką wskazał na zagrodę.

- To wszystko, co mam.

Barles powoli skinął głową, ostatni raz rzucił okiem na dzieciaki i odszedł w kierunku nissana. Czasem, pomyślał, czując spojrzenia mężczyzny i dzieci na plecach, brak rodziny czy kogokolwiek na świecie, kto by się o człowieka martwił, może być szczęściem. Wtedy można ocaleć, zabić, umrzeć, a nawet pęknąć - w spokoju.

V. NIEKTÓRE KOBIETY MAJĄ

Warkot silnika samolotu rozbrzmiewał w całej dolinie. Barles wiedział, że są na nim insygnia Narodów Zjednoczonych, ale instynktownie spojrzął na pobliskie drzewa, w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się schronić. Trzy lata wcześniej, w Vukovarze, powoli lecący serbski MIG 21 zaskoczył go w identycznej sytuacji jak teraz, kiedy szedł do samochodu po zapasową baterię. Tamten samolot pojawił się nagle, gdy Barles był zupełnie odsłonięty, w szczerym polu. Ucieczka nie miałaby sensu, stał więc bez ruchu zdjęty strachem, patrząc do góry i ściskając niepotrzebną baterię w dłoni, podczas gdy samolot przechylił się na skrzydło, żeby zidentyfikować samotną, nieruchomą sylwetkę i litery TV namalowane na dachu stojącego w pobliżu samochodu. Barles zapamiętał na zawsze złowrogi kadłub w barwach maskujących, odbicie słońca na blachach i postać pilota, pochylającego się, żeby mu się przyjrzeć. Potem MIG zrzucił bomby gdzieś dalej, na stare miasto, na inny, ważniejszy cel.

Kiedy Barles dotarł do nissana, dalej myślał o Vukovarze, chorwackim Stalingradzie. Jesienią 1991 miasto było burzone dom po domu, a w niektórych z nich właśnie bywali Marquez i on. Wyjeżdżali i wracali przez pola kukurydzy starym fordem transitem nawet wtedy, kiedy wszystko dookoła było jedynie górą gruzu, w których utrzymywali się, już bez nadziei, pozostali przy życiu obrońcy. Mieszkali w hotelu Dunav do czasu, aż został zburzony, a ostatniej nocy Gervasio Sanchez wyszedł ze schronu w poszukiwaniu Barlesa, podczas gdy serbskie bomby spadały wszędzie, a kutry patrolowe armii federalnej, których ciemne i złowrogie cienie przesuwały się z biegiem nurtu, ostrzeliwały Dunav od strony rzeki. Nie było innego schronu jak ubikacja i tam właśnie weszło pół tuzina chorwackich żołnierzy, Barles, Marquez, Jadranka, Gerva Sanchez, argentyński fotograf Manuel Ortiz i Alberto Peliez ze swoją ekipą z meksykańskiej Televisy. Była to noc długa, głośna i niewygodna, pośród odgłosu wybuchów i smrodu klozetów.

- Stąd już nie wyjdziemy - mówił Alberto Pelaez do młodych Chorwatów, zdjętych paniką. Alberto był urodzonym pesymistą i na wszystkich wojnach czuł się okropnie. Mimo to wracał wielokrotnie, choć nikt go nie zmuszał i torturowały go okrutnie wyrzuty sumienia, jeśli przepuścił coś ważnego. Był w tym podobny do Julio Fuentesesa z "El Mundo", który fatalnie czuł się pośród bomb, ale czuł się jeszcze gorzej, kiedy pośród bomb nie był.

Tamtej nocy, gdy chronili się przed serbskim atakiem w ubikacji hotelu Dunav w Vukovarze, przy płomieniu świecy, dziennikarze wyciągnęli butelkę Jacka Danielsa, żeby lepiej znieść sytuację. Od czasu do czasu jakiś bliższy wybuch wstrząsał ścianami. Chorwaccy żołnierze, skuleni w kącie, trzymali się za głowy i patrzyli na reporterów, jakby byli stadem wariatów. Zastanawiali się, co też oni wyprawiają.

- Dlaczego tu jesteś? - jeden z nich spytał Manuela.

- Nigdy o to nie pytaj - odpowiedział Argentyńczyk.

- Ja tu jestem, bo się rozwiodłem - ktoś powiedział. - Niech ma za swoje.

Nikt nie zakwestionował mrocznej logiki tego wyjaśnienia. Marquez spał między nimi jak suseł, obojętny na bomby spadające obok, na smród z zatkanych pisuarów i na rozmowy.

- Ja nie chcę umierać - powiedział Alberto, pół żartem, pół serio.

- Ja też nie.

- Ani ja.

- Może byście się wreszcie zamknęli. Ale wcale się nie zamknęli, bo napięcie rozstraja nerwy i rozwiązuje język. Butelka krążyła wokół i meksykański dźwiękowiec razem z Manuelem, trochę wstawieni, zaczęli śpiewać rancheras. Barles poszedł ze śpiworem położyć się wyżej, w hotelowym hallu, obok betonowego filaru, w ciemności sprawiającego wrażenie dość solidnego, a Gervasio Sanchez, który był jego przyjacielem, poszedł po niego, żeby jednak wrócił. Kiedy nie udało mu się go przekonać, spędził resztę nocy, leżąc obok, dla towarzystwa. Obu oświetlał od czasu do czasu blask bomb wybuchających na dworze.

- Jeśli mnie zabiją dziś w nocy - powiedział Gervasio - nigdy ci tego nie daruję.

Gerva Sanchez był jednym z najlepszych ludzi, którzy opisywali tę wojnę. Zaczął jako wolny strzelec na wojnach w Ameryce Łacińskiej, w Salwadorze i w Nikaragui, a teraz pracował dla "Cover" i dla "El Pais" i wysyłał korespondencje do swojego rodzimego dziennika, "El Heraldo de Aragón". Ciągle ryzykował, zarabiając na życie to po jednej stronie, to po drugiej, a po czasach Vukovaru i Osijeka długie miesiące spędzał w Sarajewie. Można go było spotkać, jak chodzi pieszo ulicami bośniackiej stolicy, dźwigając swoje aparaty fotograficzne, w zniszczonej kurtce reporterskiej koloru khaki, nałożonej na kamizelkę kuloodporną, kupioną z drugiej ręki.

- A ty dlaczego tu jesteś? - spytał go Barles złośliwie, tamtej nocy w hallu hotelu Dunav w Vukovarze.

- Bo lubię - odpowiedział Gervasio skromnie, po cichu.

Poza tym, że był dobrym człowiekiem, Gerva Sanchez był wspaniałym fotografem wojny. W ostatnich czasach często pracował razem z Alfonso Armadą z "El Pais", młodym chłopakiem w okrągłych okularach, który odniósł sukces jako autor sztuk teatralnych, ale pojechał do Sarajewa w czyimś zastępstwie i tak mu się spodobało, że nie dał się stamtąd odwołać. Byli nierozłączni, jak Lelum i Polelum.

Wspomnienie Gervasia wywołało uśmiech na twarzy Barlesa. Myśląc jednak o Vukovarze, nie miał wielu powodów, żeby się uśmiechać. Żaden z chorwackich żołnierzy, których wtedy poznali, już nie żył, pozostał po nich tylko film w archiwach Telewizji Hiszpańskiej. Kiedy miasto upadło, Serbowie zamordowali wszystkich jeńców w wieku poborowym, łącznie z Gruberem. Gruber był komendantem przyczółka Borovo Naseije, gdzie Marquez i Barles zazwyczaj przychodzili podczas walk, bo tam można było się poruszać jak się chciało. Pewnego razu Gruber nawet zorganizował

kontratak i odbił pobliski budynek, o pierwszej w południe, przy bardzo dobrym świetle, po to, żeby mogli zrobić zdjęcia. Kontratak się nie udał, ale udało im się dotrzeć do zniszczonych serbskich samochodów opancerzonych, gdzie sfilmowali zwłoki żołnierzy federalnych, leżące na ziemi, zanim żywi Serbowie nie zmusili ich do wycofania się. Kapitan Gruber miał 24 lata, był wielokrotnie ranny, a ostatnie dni - z kompletnie podziurawionym płucem i stopą amputowaną w kostce - spędził razem z setkami innych żołnierzy w podziemiu szpitala, gdy promień strefy obrony zmniejszył się do kilku metrów. Kiedy przyszli Serbowie, wyciągnięto go na zewnątrz razem z innymi i wszystkich zabito kulą w kark. Wszyscy, Gruber i chłopcy z Borovo Naseije, Matę i Bośniak Mirko, nawet Rado, drobny blondynek, który zakochał się w Jadrance, tłumacze, wszyscy teraz leżeli w zbiorowych grobach i zmieniali się w nawóz dla pól kukurydzy.

Ta sama Jadranka, platoniczna miłość małego Rado, siedząca teraz w nissanie i notująca wiadomości nadawane przez radio, podniosła głowę i spojrzała przestraszona na Barlesa, kiedy otworzył drzwiczki samochodu. Dziennikarz zastanawiał się, czy ona też pamięta Grubera i resztę chłopaków z Vukovaru. Myślał, że tak, choć Jadranka nigdy nie chciała o tym mówić, jakby starała się zapomnieć zły sen. Vukovar był dla niej chrztem bojowym - zaczęła jako płomienna patriotka, a teraz była całkowicie rozczarowana polityką i wojną, ludźmi, którzy pociągali za sznurki i tego, i tego. W 1992 zrezygnowała z wysokiego i wpływowego stanowiska w rządzie Tudźmana i wróciła na uniwersytet w Zagrzebiu, gdzie wykładała języki hiszpański i kataloński. Czasem robiła tłumaczenia dla ambasady hiszpańskiej, a na front wracała bardzo rzadko, tylko po to, żeby pracować razem z Barlesem i Marquezem, po 130 dolarów za dzień. Łączyły ich wyjątkowe więzy, przy nich trzy lata wcześniej odkryła wojnę, jeżdżąc po Chorwacji od Petrinji po Osijek, od Vukovaru po Pakrac; jej zawodowy życiorys tłumaczki latem i jesienią 1991 roku zawierał nazwy wszystkich najgroźniejszych bitew wojsk Federacji Jugosłowiańskiej z nacjonalistami chorwackimi. Była ciemnowłosa, wysoka i słodka, z włosami przedwcześnie przetkanymi siwizną, i twierdziła, że wiele siwych włosów było wynikiem współpracy z Marquezem i Barlesem. Nienawidziła korridy i uważała, że Hiszpanie nazbyt lubują się we krwi, co w ustach Chorwatki zakrawało na kpinę.

- Wszystko to razem źle wygląda - powiedziała Jadranka, wyłączając radio.

- Zauważyłem.

- Armija idzie w kierunku Cerno Polje. Jeśli dotrą tutaj, odetną drogę.

Dziennikarz zaklął wyraźnie, głośno i dosadnie. Szlag by to, jeśli Muzułmanie odetną drogę, trudno będzie stąd się wydostać. Zwłaszcza ona, ze swoim nazwiskiem - Vrsalović - nie przejdzie wolno przez żadną kontrolę Armii, mimo swojej oenzetowskiej akredytacji.

- Jak w Jasenovacu - mruknął Barles.

- Jak w Jasenovacu - powtórzyła, uśmiechając się z niepokojem.

Parę lat wcześniej, kiedy serbskie czołgi zamykały pierścień wokół Dubicy, wydostali się z Jasenovaca, jadąc na pełny gaz drogą, która dziesięć minut później została odcięta. Zanim wyjechali

z Dubicy, Barles zdążył uratować z płonącego kościoła dwa osiemnastowieczne mszały i niewielkie stare płótno przedstawiające świętego Mikołaja, które wyciął z ramy czterema cięciami swojego victorinox.

- Inaczej by się spalił - powiedział.

Jadranka zrobiła mu szewską awanturę, kiedy się dowiedziała, że nie ma najmniejszego zamiaru oddać ich do żadnego muzeum ani do chorwackiego Ministerstwa Kultury.

- To się nazywa grabież - powtarzała oburzona, podczas gdy Marquez niemal frunął nad drogą prowadząc samochód. - Wstrętna grabież.

Przytaczane przez Barlesa argumenty, że była to ortodoksyjna cerkiew serbska i że podpalili ją sami Chorwaci, ani trochę nie zmniejszyły jej oburzenia. W owym czasie Jadranka zachowywała jeszcze nienaruszone przedwojenne pojęcie przyzwoitości. W tamtych czasach ekipa Telewizji Hiszpańskiej w ówczesnej Jugosławii składała się z pięciu osób: ich trójka, i jeszcze dźwiękowiec Alvaro Benavent, i Maite Lizundia, młoda producentka telewizyjna, dziewczyna jednego z muzyków z zespołu Los Ronaldos. Maite była drobna, milcząca i rezolutna. Pierwszy raz na wojnie, naśladowała we wszystkim Marqueza i Barlesa, chodząc za nimi ze swoim plecakiem na ramieniu i kuląc głowę, gdy spadały bomby albo przelatywały kule. W Vukovarze, w dniu, kiedy serbska artyleria pierwszy raz zaatakowała chorwacki sztab główny, musieli wybierać: zejść do schronu, co oznaczało chwilowe bezpieczeństwo, ale także możliwość, że nigdy się stamtąd nie wydostaną, czy pieszo jak najszybciej oddalić się od sektora, gdzie koncentrowało się bombardowanie. Wybrali drugą możliwość, a Maite towarzyszyła im bez słowa, przez długie pół godziny, gdy posuwali się przyklejeni do murów, nie mogąc filmować, ani nawet nie mając na to cienia ochoty, kiedy wszędzie dookoła wybuchały pociski i zrzucały im na głowę dachówki i gałęzie drzew. Alvaro, dźwiękowiec, był człowiekiem spokojnym i zdecydowanym, kiedyś nawet chwycił kamerę i nakręcił kilka znakomitych ujęć podczas walk o Górne Radici. Ale po Vukovarze, po tym, jak cudem w ostatniej chwili udało im się uciec z Dubicy i Jasenovaca, nigdy już nie był taki jak przedtem. Barles przypomniał sobie jego ciężki oddech i palce wbite w oparcie siedzenia, kiedy pędzili samochodem, a w oddali na horyzoncie przesuwały się serbskie czołgi. Już nigdy nie chciał z nimi pojechać na wojnę. Teraz, powtarzał, jadąc drogą z Jasenovaca, rachunki z ojczyzną mam wyrównane. Całujcie mnie w dupę. Obydwaj.

Kobiety na wojnie. Jadranka. Maite. Heidi i jej gołębie. Catherine Leroy obwieszona aparatami fotograficznymi, kiedy kłóci się z izraelskim żołnierzem w Tyrze. Carmen Romero, z agencji EFE, przemoczona od śniegu w bukareszteńskim Intercontinentalu, jak szuka telefonu, bo musi przekazać informację, że na ulicach jest wielu rannych. Carmen Postigo, zmysłowo tańcząca z Ulfem, swoim szwedzkim kamerzystą, w sylwestrową noc po upadku Ceausescu. Aglae Masini, kiedy biegnie ulicami Bejrutu w 1976, unikając strzałów snajperów, oślepią kurzem wznieconym przez eksplodujące pociski, bo przecież musi nadać teleks z codzienną korespondencją dla dziennika "Pueblo". Carmen Sarmiento na żywo przekazująca informację z zasadzki, w którą wpadła gdzieś w Nikaragui. Lola Infante w Ndżamenie, patrząca bez mrugnięcia na Barlesa, kiedy położył jej na spódnicy obojczyk ze szkieletu - strzał w kark, ręce związane drutem - objedzonego przez krokodyle

na brzegu rzeki Szari. Arianne, w kamizelce kuloodpornej i z papierosem w ustach, prowadząca samochód pod ostrzałem snajperów przez Sniper Avenue w Sarajewie, a w radiu Lou Reed śpiewa Walking on the wild side. Cristina Spengler w landrowerze pokrytym pyłem, jadąca między polami minowymi na północny zachód od Tindufu. Slobodanka ubrudzona krwią, kiedy stara się zatamować krwotok Paulowi Marchandowi. Oriana Fallaci opowiadająca Barlesowi o swoim raku, na pokładzie samolotu między Az-Zahranem i Hafar al-Batin, na tydzień przed inwazją na Kuwejt. Peggy, kamerzystka z CNN, z dolną szczęką rozbitą przez pocisk rozpryskowy i z językiem wiszącym jak krawat. Maria Portugalka śpiąca z nagimi piersiami. Corinne Dufka, której sylwetka odcinała się na tle płomieni hotelu Europa, z włosami zebranymi w warkocz, w obcisłych džinsach, z aparatami Nikon wiszącymi na szyi, fotografująca, kiedy Barles nie mógł już się powstrzymać i z płomieni wynosił na rękach dzieci. Corinne i Barles znali się od czasów Salwadoru; była to najodważniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział na wojnie. Jej zdjęcia z Bośni obiegały świat i znajdowały się na okładkach "Time'a", "Paris Matcha" i wielkich międzynarodowych magazynów. Siedziała w Sarajewie przez wiele miesięcy, do Mostaru dotarła pieszo, przez góry, a w 1992 wyleciała w powietrze na minie w Górni Vakuf. Wiele miesięcy wracała do zdrowia, a potem znów pojechała na wojnę, pokryta świeżymi bliznami, sąsiadującymi z bliznami starymi. Jak powiedział Gerva Sanchez, kiedy zobaczył ją znowu w hallu hotelu Holiday Inn, niektóre kobiety mają jaja.

- Powinniśmy już jechać - doradziła Jadranka. Wymieniając starą baterię na nową, Barles popatrzył na dym unoszący się znad Bijelo Polje. Wzruszył ramionami.

- Marquez chce mieć most.

- O mój Boże - odpowiedziała.

Zbyt dobrze znała Marqueza i wiedziała, że jeśli wbije sobie coś do głowy, to nie ma o czym gadać. Legenda jego życia pełna była takich historii, prawdziwych i apokryficznych. Opowiadano, że kiedyś w Wietnamie uparł się, żeby skazanego na śmierć północnego Wietnamczyka, który był ubrany na czarno, rozstrzelać pod jasną ścianą, żeby podczas egzekucji obraz był wyraźniejszy. Jeśli i tak mają go wykończyć, mówił, niech przynajmniej do czegoś się to nada. Spytano Wietnamczyka, a ten odpowiedział, że jest mu wszystko jedno, miał to gdzieś. No i postawiono go pod inną ścianą.

Barles miał spytać Jadrankę, co jeszcze mówili w radiu. Ale wtedy właśnie rozległ się straszliwy huk, a fala uderzeniowa szarpnęła otwartymi drzwiczkami nissana i przewróciła kartki w notesie tłumaczki. Barles pomyślał, że być może tym razem Marquez ma wreszcie swój pieprzony most.

Nie w most jednak trafiono. Kiedy podszedł do zakrętu obok zagrody, zobaczył, że pocisk, albo ciężki granat, być może kalibru 82 albo 120 mm, spadł na skrzydło domu, burząc ścianę i zasypując potłuczonymi dachówkami drogę. Za plecami usłyszał kroki Jadranki, ale nie odwrócił się, tylko ruszył biegiem w stronę domu. Podbiegając do furki, dostrzegł przelotnie, że w dali, po lewej, Marquez wstaje ze skarpy z kamerą przylepioną do twarzy i filmuje dym po wybuchu unoszący się jeszcze w powietrzu.

Furtka pokrzywiła się i wypadła z zawiasów. Przeskoczył ją, dostał się na podwórze i zaraz napotkał zabita krowę. Obok leżał potłuczony szwajcarski zegar z kukułką, wyrzuconą teraz na zewnątrz. Czuć było silny zapach spalonego materiału wybuchowego. Drzwi do domu były otwarte, podłogę pokrywało potłuczone szkło, nie dostrzegł jednak nikogo. Zawołał na chorwackiego wieśniaka i po chwili zobaczył, jak wychodzi po schodach z piwnicy, z twarzą w kolorze popielatoszarym.

- Wszystko *dobro*? - zapytał, gestem wskazał ziemię, pokazując, że chodzi mu o dzieci. - *Ne ma problema?*

Chorwat przecząco pokręcił głową. Kiedy Barles podszedł do schodów, usłyszał płacz dzieci z piwnicy. Marquez razem z Jadranką pojawił się w drzwiach; szedł z włączoną kamerą jakby szukał, czy wewnątrz nie ma czegoś godnego uwagi. Barles zaprzeczył gestem. Jedyne ciekawe zdjęcia można by zrobić w piwnicy, ale lampa oświetleniowa została w nissanie. Zresztą tę piwnicę już mieli sfilmowaną w stu różnych wersjach, bo zawsze była to ta sama piwnica - tak samo jak wszystkie płonące domy i zabici, którzy zawsze przypominali Sekssymbola - z matką skuloną w kącie, tulącą przerażone dzieci. Z niedołązną staruszką o niewidzącym spojrzeniu, pogrążoną w czarnej toni swojej przeszłości, poza dobrem i złem. I z mężczyzną, którego skóra nabierała tłustego, szarego wyglądu, jaki nadaje jej strach. Mężczyzna upokorzony, zagubiony, niezdolny, żeby zrobić cokolwiek dla swoich bliskich. Nie warto było iść do nissana po lampę, żeby jeszcze raz filmować to samo.

- Nie warto - powiedział do Marqueza.

Kamerzysta wzruszył ramionami i wyszedł na podwórze. Jadranką rozmawiała z mężczyzną po serbsko-chorwacku, a ten potakiwał, zmieszany, załamując ręce. Niebo zważyło mu się na głowę, pomyślał Barles. Całe życie wierzymy, że nasz wysiłek, nasza praca, to, do czego dochodzimy, jest stałe i niezmiennie. Wierzymy, że to będzie trwać, że my będziemy trwać. I któregoś dnia niebo nam się zarywa nad głową. Nie ma niczego równie kruche, jak to, co masz, pomyślał. A najbardziej kruche jest twoje życie.

Wyszedł na podwórze. Marquez robił panoramiczne ujęcie od zabitej krowy do rozwalonego muru. Czasem zabite zwierzę wygląda bardziej przejmująco niż człowiek. Wszystko zależy od tego, jak skomponujesz ujęcie czy kadr. Czasem nawet żywe zwierzę. Pamiętał pewnego psa z łapą przestrzeloną przez kulę, który kiedyś, kulejąc, szedł za nim i Paco Olmediią w Bejrucie podczas oblężenia Sabry i Szatni. Na wojnie spojrzenie rannego zwierzęcia jest identyczne jak spojrzenie dziecka, bo patrzy na człowieka tak, jak dzieci patrzają na dorosłych: z wyrzutem, że czują ból i nie rozumieją jego przyczyny. Wszystkie oczy dzieci oparzonych napalmem, źrenice rozszerzone cierpieniem, pomiędzy bandażami pokrywającymi ich twarze, w Chorranszahr, w Esteli, w Tyrze i w setkach innych miejsc, które zawsze były tym samym miejscem, wszystkie oczy wszystkich dzieci na wszystkich wojnach były długim oskarżeniem bez słów świata dorosłych. Nawet nie musiały być ranne czy zabite jak ten sześciolatek, malutki i samotny, z niepotrzebnym bandażem wokół głowy, niezwykle delikatny, z otwartymi ustami, gołymi ramionkami i piersią, którego filmowali, jak leżał na posadzce kostnicy w Sarajewie i tego dnia Paco Custodio oddał kamerę Miguelowi de la Fuente i,

siedząc na schodach, rozpląkał się, a łzy spływały mu po wąsach. Czasem przerażenie spokojnie czeka na ciebie przyczajone w oczach żywego malucha, na drodze prowadzącej donikąd albo w jakiejś piwnicy. Na twarzy żydowskiego dziecka, które podnosiło - podnosi albo podniesie - ręce do swojej matki, przed niewzruszonym katem w getcie warszawskim. Pamięć reportera jest zawsze pamięcią grubego albumu ze starymi zdjęciami, obrazami łączącymi się z innymi, ze wspomnieniami własnymi i cudzymi. Dół na śmieci wypełniony ciałami chłopców torturowanych i zabitych w Salwadorze. Więzienia Ceau-sescu. Zdobycie Quarantiny przez libańskich falangistów.

Co to jest potworność? Barles poruszył głową: ludzie nie mają ani odrobiny pojęcia. Każdy dureń może przeczytać Jądro ciemności i już myśli, że wie wszystko o potwornościach, przyjeżdża na dwa dni do Sarajewa, żeby opracować racjonalną teorię na temat krwi i gówna, a po powrocie pisze o tym trzysta pięćdziesiąt stron i potem bierze udział w konferencjach wyjaśniających wszystko, wespół z innymi dupkami, którzy nigdy nie musieli się bić o skórkę czerstwego chleba ani nie słyszeli krzyku gwałconej kobiety, ani żadne dziecko nie umarło im na rękach i jeszcze przez pięć dni trzeba było nosić na koszuli ślady jego krwi, bo nie było wody, żeby ją uprać. Manifestami solidarności, intelektualnymi zobowiązaniami, artykułami zawierającymi opinie zaangażowanych myślicieli z podpisami czołowych postaci sztuki i nauki serbscy artylerzyści podcierali sobie tyłki od przeszło trzech lat. Barles naraził się kiedyś na potworną awanturę ze strony swoich szefów, bo nie chciał przeprowadzić wywiadu z Susan Sontag, która w tym czasie z grupą lokalnych aktorów wystawiała w Sarajewie Czekając na Godota. Przyślijcie tu jakąś redaktorę z działu kulturalnego, powiedział. A jeszcze lepiej jakiegoś zaangażowanego intelektualistę. Ja jestem pieprzonym analfabetą i ruszają mnie tylko wojna i zamęt.

Popatrzył na zabity krowę, a potem na odbicie własnej twarzy w kawałku potłuczonej przy wybuchu szyby, trzymającym się jeszcze w ramie okiennej, i skrzywił się sam do siebie. Potworność można przeżyć i można ją pokazać, ale nigdy nie da się oddać prawdy o niej. Ludzie myślą, że najgorsze na wojnie są krew, zabici, ranni. Ale potworność bywa tak prosta, jak spojrzenie dziecka czy pustka w oczach żołnierza, którego mają rozstrzelać. Albo wzrok opuszczonego psa, który kuleje za tobą pośród ruin, z łapą przestrzeloną kulą, którego zostawiasz w tyle, bo idziesz szybko, i jest ci wstyd, że nie masz na tyle odwagi, żeby go dobić.

Czasem potworność kryje się w domu starców w Petrinji. O tym myślał Barles, podchodząc do Marqueza, który skończył filmować krowę i zapalał następnego papierosa, jeszcze z kamerą na ramieniu.

- Co jest w piwnicy? - spytał kamerzysta.

- To, co zawsze. Dzieci, kobieta. Staruszka. Marquez wypuścił dym i rozejrzał się wokół, jakby nadal szukał, co by tu jeszcze sfilmować.

- Złe jest być starym - zauważył, i Barles wiedział, że mówi o wojnie. Marquez, o ile w ogóle się odzywał, zawsze mówił o wojnie.

- Kiedyś tego nie będzie - powiedział Barles. - Mam na myśli to wszystko i nas samych.

Marquez przytknął oczy i potaknął głową.

- Wolę tego nie dożyć. - Głęboko zaciągnął się papierosem, a potem zaśmiał skrzeczące, niechętnie. - Dlatego palę dwie paczki dziennie.

- Tak, to lepsze niż dom starców w Petrinji. Dostrzegł, że Marqueza też poruszyło to wspomnienie, bo jego spojrzenie zatrzymało się na nieokreślonym punkcie w przestrzeni, a usta wykrzywił mu grymas. Ten dom starców spotkali na początku wojny, kiedy pół Petrinji, ewakuowanej przez Chorwatów, nie dostało się jeszcze w ręce Serbów. Było to terytorium Komanczów w najczystszej formie, a potłuczone szkło głośno trzeszczało pod ich stopami, kiedy ostrożnie szli pustą ulicą, obserwując budynki, każdy po swojej stronie, szczególnie uważając na snajperów przy skrzyżowaniach. 2 tym dreszczem na wewnętrznej stronie ud i w żołądku, dreszczem, którego doznaje się jedynie chodząc po ziemi niczyjej. Znaleźli trochę żywności w splądrowanym sklepie: czekolada, herbatniki, butelka wina. Później, w ograbionym dużym eleganckim magazynie Barles wypatrzył sweter z angielskiej wełny w swoim rozmiarze, a Marquez muszkę, którą założył do koszuli khaki. Potem nakręcili jedno wejście na podziurawionym placu, jesteśmy w zupełnie opuszczonym mieście, i tak dalej. Barles z mikrofonem Telewizji Hiszpańskiej w ręce, a Marquez filmujący w planie średnim, z jednym okiem przy wizjerze, a drugim uważnie rozglądając się wokół. I kiedy już odchodzili, natknęli się na dom starców.

Ominęliby go z daleka, gdyby nie byli usłyszeli głosu, czy raczej jęku, dobiegającego zza rozbitej szyby w oknie. W budynku, oficjalnie ewakuowanym przed serbskim atakiem, zostało - opuszczonych przez pielęgniarzy, którzy uciekli - około tuzina niedołączonych starców, leżących na polowych łóżkach w ciemnym korytarzu za drzwiami. Od trzech dni nie dostawali wody ani jedzenia, leżeli w fetorze odchodów, pośród bzyczenia much. A kiedy Marquez i Barles zaświecili latarki, żeby coś zobaczyć, zaraz tego pożałowali. Kilku starców było już martwych. Żywi mieli zostać przy życiu jeszcze bardzo krótko. Zgasili latarki, włączyli lampy oświetleniowe i sfilmowali wszystkich, żywych i martwych. Kiedy zbliżała się do nich kamera, starcy kulili się na łóżkach, pośród moczu i ekskrementów, którymi zabrudzone mieli ubrania i pościel, i zasłaniając rękami nieprzytomne, niewidzące oczy osłepione przez światło lampy, popiskiwali śmiertelnie przerażeni, cichutko, błagalnie w kierunku dwóch cieni, które kręciły się wokół nich. Marquez i Barles pracowali bez słowa, nie patrząc na siebie, a ostre światło nadawało ich bladym, napiętym twarzom wygląd duchów. Przerwali tylko raz, na chwilę, kiedy Barles oparł się o ścianę i zaczął wymiotować, ale żaden nie odezwał się słowem. Potem rozdali całą wodę i jedzenie, jakie mieli przy sobie, i weszli na piętro, gdzie wybuch bomby zaskoczył jakiegoś staruszka, który przygotowywał się do ucieczki. Nadal tam siedział. Nie żył od trzech dni i siedział samotnie wśród gruzu, pokryty warstwą pyłu i potłuczonego gipsu, nieruchomy, z parą butów stojących przy nogach, obok wzruszającej walizki z kartonu i kapelusza, miał zamknięte oczy i spokojny wyraz twarzy, brodę opuszczoną na piersi, pasmo suchej krwi biegło mu od nosa do nieogolonej brody i brudnego kołnierzyka koszuli, i Barles poprosił Marqueza, żeby sfilmował jego twarz, ten jednak wolał zrobić ujęcie pleców, kadrując tak, jak zobaczyli go z korytarza: siedząca na wprost okna wybitego przez wybuch bomby szara, patetyczna sylwetka, nieruchoma w przerażającej samotności zniszczonego pokoju, pośród cegieł i połamanych mebli, pokrzywionych blach, obok strzępów - walizka, kapelusz, buty, ubrania, papiery

między gruzami - jego ubożego życia, zakończonego w ciemności, przy odgłosie szybkich kroków w korytarzu, kiedy po omacku szukał butów, żeby uciec.

Przerażenie. Marquez śmiał się jakby do siebie, z miną gorzką, zamyśloną. Barles też zaśmiał się przez zęby, patrząc w oczy zabitej krowie.

VI. MOST NARQUEZA

Jadranka przyłączyła się do nich na drodze, naprzeciwko zagrody.

- Co ci powiedział? - spytał ją Barles. Tłumaczka wzruszyła ramionami. Wyglądała na zmęczoną.

- Ten człowiek ma zamęt w głowie. Nie wie, co robić, czy zostać, czy uciekać.

- To dureń. Przecież wszystko się skończyło: i to miejsce, i jego gospodarstwo. Armija dotrze tutaj, czy most zostanie, czy nie.

Rozległy się dalekie wybuchy w zakolu rzeki i wszyscy troje spojrzeli w tamtym kierunku.

- My też powinniśmy jechać - powiedziała Jadranka.

Marquez ani Barles nie odezwali się. Wiedzieli, że nie mówi tego ze strachu, tylko taka jest prawda. Jadranka też wiedziała, że oni o tym wiedzą. Wszyscy troje wiedzieli, że możliwość ucieczki maleje z każdą minutą.

- Co się dzieje w Cerno Polje? - zapytał Marquez, patrząc na most.

- W radiu mówią, że droga jest przejezdna, ale nie mówią, jak długo jeszcze.

Marquez nieznacznie pokiwał głową, jakby już o tym wiedział. Potem zmienił baterię i ruszył ku skarpie, w kierunku mostu.

- Sukinsyn - syknął Barles.

Powiedział Jadrance, żeby wracała do nissana i poszedł za Marquezem w kierunku mostu. Sekssymbol leżał na swoim miejscu, dym wiszący nad Bijelo Polje zgęstniał. Nie było już słychać strzałów we wsi. Przyglądając się krajobrazowi, poczuł, że czegoś mu brakuje, jak w zabawie z porównywaniem obrazków i szukaniem różnic, choć na początku nie mógł sobie uświadomić, co się stało. Zatrzymał się na chwilę i wreszcie zrozumiał. Brakowało dzwonnicy kościoła, która zniknęła.

Ciekawa rzecz, pomyślał, że wszyscy walczący, wszelkich ras i kolorów, starają się zniszczyć symbole religijne przeciwnika. Przypomniawszy sobie meczet Murabitun w Bejrucie z minaretem tak podziurawionym kulami, że wyglądał jak kawałek sera gruyere. Albo cerkwie, kościoły katolickie i meczety w różnych częściach byłej Jugosławii. W dawnych czasach, przynajmniej, Turcy zamalowywali wapnem ściany Hagii Sophii, a chrześcijanie budowali katedry w andaluzyjskich meczetach, jakby architektura dawała się jednak pogodzić z masakrą. Teraz stosowano szybkie rozwiązania: kilka pocisków, materiał wybuchowy w fundamentach, i święty spokój. Żadne wieki historii nie potrafią się oprzeć materiałom wybuchowym, głupocie i barbarzyństwu. Na przykład biblioteka w Sarajewie. Czy zbombardowana synagoga. Albo meczet Begova, którego ołowiane

dachówki pokryły jak dywan ulicę Saraci. Albo most w Mostarze, który po czterystu dwudziestu siedmiu latach opierania się wszelkim wojnom i najazdom nie wytrzymał godzinnego ostrzału chorwackiej artylerii. Właśnie filmowali ruiny mostu od strony wschodniego brzegu, kiedy jakiś snajper strzelił w głowę przechodzącej kobiecie, a potem w plecy Marii, ładnej czarnowłosej dziewczyny pracującej w UNICEF-ie, i trzech hiszpańskich żołnierzy w niebieskich hełmach musiało pod ostrzałem biec ją ratować, a jakiś wolny strzelec okopany wśród ruin robił im zdjęcia aparatem z teleobiektywem. Dzięki tym zdjęciom Maria stała się znana, żołnierze dostali medale od UNICEF-u, a fotograf dostał pięć stron w "Paris Matchu". Co do zabitej kobiety, która na zdjęciach leżała na brzuchu, obok spiętych twarzy żołnierzy, za którymi kule odbijały się od muru, to jej twarz została zmasakrowana pociskiem, i nie można było zidentyfikować zwłok, pochowano ją więc obok nieistniejącego już mostu, od którego pochodzi nazwa miasta wcale już nie przypominającego miasta. To jednak przewrotność i złośliwość losu.

Idąc ciągle środkiem drogi, Barles spojrzął w prawo na las i nie zobaczył żadnego żołnierza. Chorwaci albo nadal się ukrywali, albo wzięli nogi za pas. Marquez ciągle leżał pod skarpą w pozycji wyczekującej, z obiektywem kamery wycelowanym w most, a obok niego plecak i hełm Barlesa, który znajdował się o jakieś dziesięć metrów od kamerzysty i który znów spojrzął w miejsce, gdzie powinna była stać dzwonnica. Potem skierował wzrok niżej, na zakręt drogi po drugiej stronie mostu i rzeki. Wtedy zobaczył pierwszy czołg.

Czołg zawsze budzi w człowieku niepokój. To ponura masa stali, poruszająca się z łoskotem i trzaskiem, jak średniowieczny smok. Czołg jest rzeczą najmniej sympatyczną, jaką można spotkać na wojnie, zwłaszcza jeśli jest to czołg przeciwnika. Nawet jeśli trafił już w niego pocisk i stoi teraz nieruchomy i zardzewiały, nadal jest złowrogim urządzeniem. Czołg wywołuje atawistyczny irracjonalny lęk i zawsze budzi w człowieku chęć ucieczki. W 1982, wkrótce po powrocie z Falklandów, Barles spędził osiem godzin z grupą palestyńskich łowców samochodów, szóstką chłopców uzbrojonych w ręczne granatniki przeciwpancerne RPG-7, walczących na przedmieściu Burdż el Baradżne, na południe od Bejrutu. Obok budynku mieszkalnego stał izraelski czołg Merkava i chłopcy, z których najstarszy mógł mieć szesnaście lat, starali się zniszczyć go strzałami z granatników. Zbliżali się raz za razem, pod osłoną ruin, i strzelali pociskami z głowicą kumulacyjną, które albo nie trafiały do celu, albo nie mogły przebić pancerza. Wreszcie, jak olbrzym, którego zbudzono ze snu, merkava obrócił powoli wieżyczkę, wystrzelił jeden tylko pocisk i zabił dwóch Palestyńczyków. Potem w tym miejscu pojawiła się izraelska piechota, strzelając z czego się da - karabinków automatycznych Galii i karabinów maszynowych, i wtedy Philipot, fotograf z agencji Sygma, powiedział, że nie warto dać się zabić dla jakiegoś zdjęcia - sefaire tuer, powiedział - i rzucił się do ucieczki, i Barles zaczął uciekać, i wszyscy uciekali, a Barles i Philipot nie zatrzymali się, dopóki nie dotarli do hotelu Com-modore, gdzie Tomas Alcoverro z "La Vanguardii" czekał na nich w barze, żeby jeszcze raz im opowiedzieć, jak to jego żona zostawiła go dla Pabla Magaza z dziennika "ABC".

Tak często dzieje się w tym zawodzie. Ty, na przykład, uciekasz przed libijskim czołgiem w Ndżamenie, a twoja prawowita małżonka idzie przed barceloński sąd z pozwem o rozwód. Ale jest prawdą, że większość członków owego plemienia nigdy nie miała żonom tego za złe. W sumie oni

bawili się w bohaterów, chodząc ulicami pod ostrzałem, a one musiały odprowadzać dzieci do szkoły, płacić raty za telewizor, rachunki za gaz, żyć samotnie. Tomas Alcoverro był tego świadom i pocieszał się jak mógł. Był najstarszym z korespondentów na Bliskim Wschodzie i którejs nocy, na jednej z plaż w Emiratach, zwierzył się Barlesowi, że ma nadzieję umrzeć w Bejrucie, bo w Hiszpanii już nie ma znajomych. Tak samo było z Julio Fuentesem z "El Mundo", który, mówiono, w czasach kiedy był piękny i młody, przeleciał Blankę Jagger podczas wojny w Nikaragui. Albo to ona przeleciała jego, wersje były sprzeczne. Potem, jak Tomas i wielu innych, Julio miał dziewczynę, która powiedziała: cześć, pa, bo miała dość tego, że on spędza życie w Sarajewie. Straszliwe barbarzyństwo podniecało Julio Fuentesę, wyglądał, jakby zachwycała go ta prawdziwa halucynacja w kolorze, jakby wojną dawał sobie w żyłę. Pedro Jota, jego szef, postanowił więc przenieść go na stanowisko korespondenta do Włoch, gdzie teraz chodził w krawacie, jeździł sportowym samochodem i miał nową dziewczynę. Niestety, czasem w środku nocy zrywała go ze snu myśl, że jest w Bośni. Trzy razy R: roztrzęsieni, rozwiedzeni, rozpici.

Barles otworzył usta, żeby krzyknąć do Marqueza, że widzi czołg, ale w tym momencie usłyszał eksplozję pierwszego pocisku. Tym razem nie był to moździerz, ale strzał bezpośredni, którym trafiono w pobliżu mostu. Rzucił się na ziemię, słysząc, jak pocisk przelatuje nad głową, wysoko, z dźwiękiem przypominającym rozdierany materiał i usłyszał, jak wybucha z tyłu, za gospodarstwem. Nissan, pomyślał. Zęby tylko sukinsyny nie trafiły w nissana. Potem pomyślał o Jadrance. Zęby tylko sukinsyny nie trafiły w nią.

Podniósł się, żeby pokonać te dziesięć metrów dzielące go od Marqueza i wtedy zobaczył dwóch Chorwatów pędzących od strony lasu ku drodze. W rękach trzymali kałasznikowy i wyglądali, jakby im się bardzo spieszyło. Na drugim brzegu rzeki czołg poruszał się wolno, jak na zwolnionym filmie, ale Barles doskonale wiedział, że to tylko złudzenie optyczne spowodowane odległością. Czołgi zawsze poruszają się szybciej niż trzeba.

Upadł obok Marqueza, na skarpie, dokładnie w chwili kiedy kolejny pocisk przelatował nad ich głowami, w tym samym kierunku. Kamerzysta miał włączoną kamerę i filmował most w planie ogólnym, jednak lewym okiem obserwował czołg zbliżający się do nich poza kadrem. Niewyraźne figurki poruszały się na drodze w pobliżu czołgu.

- Piechota - powiedział Barles.

- Widzę.

Dwaj Chorwaci dotarli do nich. Jeden był bardzo młody i pot lał się z niego strumieniem spod ogromnej kuloodpornej kamizelki, jakich używają saperzy - ze zwisającą połą z przodu, osłaniającą jądra, ale i przeszkadzającą w biegu. Drugi był wysoki, z wąsikami. Obaj bardzo zdenerwowani, wbiegli aż do połowy skarpy, żywo gestykulując.

- Mówią, żebyśmy znikali - przetłumaczył Barles.

Marquez skupiony na kamerze i na moście nie raczył odpowiedzieć. Młodszy żołnierz wspiał

się jeszcze trochę i dotknął jego buta.

- Pocałuj mnie w dupę i spływnaj - odezwał się Marquez.

Trzeci pocisk uderzył między skarpą a lasem, dokładnie w miejscu, przez które żołnierze przebiegli przed chwilą i kilka kawałków darni spadło na drogę. Wszyscy rozplaszczyli się na ziemi, poza Marquezem, który nie odrywał wzroku od mostu. Nie przejmując się tym, co by ludzie powiedzieli, Barles nałożył hełm.

Młody Chorwat, patrząc na Marqueza, powiedział *glupan*, co po serbsko-chorwacku znaczy mniej więcej dupek, i odszedł wraz z drugim wzdłuż drogi, pod osłoną skarpy, w kierunku gospodarstwa.

- Wolą się ulotnić - powiedział Barles.

Miał szaloną ochotę rzucić się do ucieczki, ale pewnych rzeczy się nie robi. Kiedy dopasowywał pod brodą pasek hełmu, zobaczył, jak dwóch kolejnych Chorwatów biegnie z lasu przez pole, też w kierunku gospodarstwa. Teraz jeszcze karabin maszynowy kalibru 12,7 mm strzelał z drugiej strony rzeki, a czerwone punkciki kuł w oddali najpierw leciały wolno, przyspieszając w miarę jak się zbliżały, podobnie jak środkowa linia na drodze, kiedy szybko jedziesz samochodem.

- Jasna cholera - powiedział Barles.

Czerwona smuga przeleciała wysoko, jakieś dziesięć metrów nad ich głowami, a potem skręciła na lewo i zgasła, mniej więcej w miejscu, gdzie leżał Sekssymbol. W dziedzinie efektów pirotechnicznych wojna jest oszałamiającym spektaklem. Kiedy pierwszy raz irańskie rakiety spadły na Bagdad we wrześniu 1980, Barles spędził całą noc, zafascynowany, na tarasie hotelu Mansur, razem z Pepe Virgilio Colchero z "Ya" i z Fernando Dorrego z "ABC", leżąc na plecach i rozmawiając, równocześnie przyglądając się, jak latają kule i pociski ziemia-powietrze. Jedenaście lat później Barles doświadczył tego jeszcze raz wspólnie z Pepe Colchero w Az-Zahranie, kiedy amerykańskie rakiety Patriot niszczyły nad Arabią Saudyjską irackie rakiety, na Zachodzie nazywane Scud, a wszyscy patrzyli na spektakl z maskami przeciwgazowymi pod ręką. Rzeczywiście, wojna w Zatoce Perskiej była dość dziwna: pięć miesięcy oczekiwania, miesiąc operacji powietrznych i tydzień wojny na lądzie. Istnieje stara reguła w tym rzemiośle: specjaliści wysłannicy biegną w peletonie, ale finiszują każdy z osobna. Tak też było w nocy ataku aliantów, kiedy wszyscy maskowali swoje zamiary, siedząc w centrach prasowych i w hotelu Meridien w Az-Zahranie. Ze trzeba by spróbować któregoś dnia pojechać do Kuwejt. Ze może lepiej poczekać. Ze właściwie to chyba zaczekamy. Bo teraz podróżowanie jest zbyt ryzykowne. I tak dalej. Kiedy tylko powiedzieli sobie dobranoc, każda ekipa telewizyjna z osobna, Pierre Peyrot i ludzie z EBU, Achile d'Amelia z ekipą RAI, TV3, TVE i wszyscy inni w tajemnicy załadowali wodę, paliwo i żywność do swoich jeepów, wcześniej zaopatrzonych w znaki rozpoznawcze aliantów - odwrócone V na bokach i pomarańczowy pas na dachu - i wyruszyli przez pustynię na północ, z mapami i kompasami, pomiędzy polami minowymi. Następnego dnia spotkali się wszyscy w Kuwejcie, zarośnięci i zakurzeni, bez cienia zdziwienia i bez wymówek: takie są zwyczaje w tym plemieniu. Barles i Josemi

Diaz Gil przyjechali na czas, żeby sfilmować końcowe walki między ostatnimi Irakijczykami i wojskami amerykańskimi, ograbiony sklep firmowy Rolexa pełen pustych pudełek, ruiny Sheratona, Hikona zniszczonego i pogrążonego w ciemności, Kuwejtczyków całujących wszystkich na ulicach, i horyzont w ogniu, szyby naftowe płonące pod niebem czarnym od popiołu, podczas gdy Don McLean śpiewał Vincent na kasecie w landcruiserze, a irackie czołgi dymiły po obu stronach drogi.

Barles dostrzegł, że drugi czołg pojawił się za zakrętem i zrozumiał, że mostowi została mniej niż minuta. Leżąc na skarpie, spojrzął za siebie, rozglądając się za możliwą drogą ucieczki. Pod ogniem nikt nie biegnie po prostej, ale w myśli rysuje trasę, zanim jeszcze się ruszy: od tego kamienia do drzewa, a potem do parowu, stosując się do starej zasady never in the house: nigdy do domu. Kiedy musisz uciekać, domy są niebezpiecznymi pułapkami: nigdy nie wiesz, co jest w środku, a jeśli w nim zostaniesz, to zawsze kule przechodzą przez ściany, które na koniec pod bombami zawałają się na ciebie. Wchodzisz, myśląc, że jesteś uratowany i już nigdy nie wychodzisz.

Karabin maszynowy kalibru 12,7 mm nadal strzelał z przerwami, a odcinek drogi do Sekssymbola był zbyt odsłonięty, musiał więc go wykluczyć. Może lepiej siedzieć na skarpie, jak to zrobili dwaj Chorwaci, a potem przebiec jak najszybciej w kierunku zagrody, do nissana. Barles zarzucił plecak na ramię, zacisnął zęby, czując nieprzyjemne mrowienie w pachwinach i w brzuchu. Robię się za stary na te rzeczy, pomyślał. Lepiej jest być młodym, wierzyć w dobrych i złych, mieć silne nogi, czuć się zaangażowanym bohaterem, a nie tylko zwykłym świadkiem. Po czterdziestce w tym fachu robisz się przeraźliwie stary.

Pochylił się nad ramieniem Marqueza, żeby sprawdzić poziom naładowania baterii, i wtedy wszystko stało się w jednej chwili. Kilka kul odbiło się od metalowej płyty na moście i granat wybuchnął pośrodku drogi, za ich plecami. Sekssymbola zabito już chyba po raz trzeci, pomyślał, i wówczas most uniósł się nieco w górę, zadrżał ponad pomarańczowym blaskiem, a Barles nie usłyszał żadnego huk, tylko poczuł uderzenie fali, gorącej i silnej, jakby powietrze było czymś twardym, co walnęło go w pierś, w twarz, w dziurki w nosie i w głowę i wbiło bębniaki uszu gdzieś do płuc, a potem nadszedł hałas, krótki i suchy, krak-bang, i rzeka i most ukryły się w dymie, a z nieba zaczęły spadać odłamki. I kiedy spojrzął na Marqueza, zauważył, że z okiem przylepionym do wizjera sukinsyn uśmiechał się od ucha do ucha.

Teraz wszystko latało w powietrzu. Armija, wściekła z powodu mostu, wymiatała po całym brzegu. Barles dostrzegł czterech ostatnich Chorwatów wyskakujących z lasu i pędzących w kierunku gospodarstwa.

- Idziemy? - zapytał Marquez.

- Masz go?

- Mam.

Kule kalibru 12,7 mm tłukły się o asfalt. Barles zsunął się po skarpie, wiedząc, że Marquez filmuje go cały czas od tyłu w czasie ich ucieczki. Kolejny pocisk eksplodował na górze, gdzieś na

drodze. Przebiegli jakieś trzydzieści metrów, pod osłoną skarpy, błoto zachlupotało im pod stopami, kiedy przekraczali przydrożny strumyk, zanim wyszli na drogę. Szum strumyka stanowiłby dobre tło dla odgłosu wybuchów, pomyślał Barles, nim wspiął się na asfalt.

Zatrzymał się i wziął podaną mu przez Marqueza kamerę.

- Sfilmowałaś czołgi?

- Były poza kadrem, nie mogłem zmieniać planu.

- Trudno.

Oddał mu kamerę, kiedy już byli z powrotem na górze. Kule tłukły się dalej jak szalone, wystrzeliwane spoza dymu, który już zaczynał rzednąć. Żeby tylko temu kretynowi nie wpadło do głowy znów filmować. Żeby tylko temu kretynowi. Żeby tylko.

Stojąc na środku drogi, jakby stał na środku Grañ Via w centrum Madrytu, Marquez zarzucił kamerę na ramię i spokojnie ustawił kolejny plan do ujęcia. Zoom na całość mostu, potem zbliżenie pokrzywionej blachy z tej strony, a potem części uniesionej do góry, jakby to był most zwodzony. Barles dokładnie widział, jak jedna z kul kalibru 12,7 mm odbija się po ziemi, a potem toczy niemal do stóp kamerzysty.

- Ściemnienie - powiedział Marquez.

Czyli koniec pracy, więc znów rzucili się do ucieczki. Nie jest to proste, kiedy biegniesz przykurczony i strzelają do ciebie; to jest bardzo męczące, a potem masz potworne zakwasy, zwłaszcza jeśli twoje spodnie są uwalane błotem i gliną. Zatrzymali się przy zniszczonej bramie do zagrody, żeby złapać oddech. Zabita krowa ciągle leżała na podwórzu, drzwi były otwarte na oścież, dom robił wrażenie opuszczonego. Mam nadzieję, że ten dureń w końcu uciekł, przeleciało Barlesowi przez myśl. I że Jadranka czeka na nas w nissanie.

- Przy odrobinie szczęścia dotrzemy na czas, jeszcze na emisję - powiedział Marquez.

Barlesowi wystarczyłoby, żeby dotarli do samochodu, ale tego nie powiedział. Dalej posuwali się wzdłuż ogrodzenia gospodarstwa, w parowie, słysząc wybuchy pocisków z moździerza po drugiej stronie. Za zakrętem natknęli się na czterech Chorwatów, którzy uciekli z lasu. Siedzieli oparci plecami o ścianę, pod jej osłoną palili papierosy, nie decydując się na przebiegnięcie ostatniego odcinka do zakrętu. Tam właśnie celował moździerz.

- Nie iść - poradził jeden z nich. - Dużo bum-bum.

Był to rosły Chorwat, z posiwiałymi wąsami. Wszyscy wydawali się bardzo zmęczeni. Ten, który się odezwał, popatrzył z ciekawością na kamerę, a potem zamachał rękami, naśladując eksplozję.

- Dużo bum-bum - powtórzył i wskazał na jednego ze swych towarzyszy, młodego chłopaka z głową ogoloną aż po czubek, który zrobił gest opuszczania dźwigni.

- Oto i artysta - powiedział Barles. A Marquez zarzucił na ramię kamerę, żeby sfilmować chorwackiego sapersa, który teraz ułożył palce w kształt litery V jak victoria.

- Victorię mam w dupie - powiedział Marquez, po czym wyłączył kamerę i zapalił papierosa.

- Idziemy - powiedział Barles.

Spojrzeli na odcinek drogi, który musieli przebiec bez żadnej osłony, zanim schronią się za zakrętem przy nissanie. Trzydzieści metrów, pod przerywanym ostrzałem mózdzierza. Całe szczęście, że pociski karabinu maszynowego tutaj nie dolatywały.

- Ty zostań - nalegał Chorwat. - Dużo niebezpiecznie.

Barles patrzył na zegarek. Piętnaście minut drogi do Cerno Polje i niemal godzina do miejsca emisji, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Peyrot zarezerwuje im miejsce w układzie satelity i jeśli przekażą wszystko tak jak mają, zdążą na wiadomości. Jeśli uda im się wydrzeć parę minut, a Franz albo Salem będą wolni, można by zmontować materiał z tekstem, który przygotowuje się w samochodzie, kiedy Marquez będzie prowadził. Zaczął wymyślać komentarz pod obraz wylatującego w powietrze mostu: Tego ranka muzułmańska ofensywa w centralnej Bośni... Z pewnością Miguel Angel Sacaluga, wicedyrektor programów informacyjnych, powie Matiasowi Pratsowi i Anie Blanco, żeby tak zaczęli wiadomość. To znaczy, że trzeba powiedzieć coś konkretniejszego, coś o moście: Ten most został wysadzony w powietrze dziś rano, aby zatrzymać muzułmańską ofensywę... Coś w tym stylu. Albo lepiej: Wycofując się, Chorwaci wysadzają w powietrze mosty. Barles wyjął z kieszeni notes i zapisał to zdanie. Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że Marquez mu się przygląda.

- Dolar, że dotrzemy - powiedział kamerzysta.

- Na transmisję?

- Do nissana!

Barles roześmiał się. Lubił tego nieogolonego mrukliwego faceta, zakochującego się w mostach, które filmował, podczas gdy wylatywały w powietrze.

- Niech będzie ten dolar. - Pocisk wystrzelony z mózdzierza eksplodował dokładnie na zakręcie, i wszyscy padli do parowu. Barles mierzył czas do następnego wybuchu i zobaczył, że Marquez, wpatrzony w zegarek, robi to samo. "Wybuchy następują co czterdzieści pięć sekund, mniej więcej. Z kamerą i plecakiem na ramieniu trzeba liczyć jakieś dwadzieścia do trzydziestu sekund, żeby dotrzeć do bezpiecznego celu.

- Jak to widzisz? - zapytał Marqueza.

- Musielibyśmy mieć pecha.

Poczekali na kolejny wybuch pocisku. Czterdzieści dwie sekundy. To życie nie było takie złe, pomyślał Barles. Jak to szło? "Widziałem rzeczy, których wy nie zobaczycie nigdy... Widziałem statki płonące za Orionem i zachód słońca nad Tannhauserem..". Muszę zmienić baterię w magnetofonie, przypomniał sobie. I w hotelu trzeba będzie uprać dwie brudne koszule. Spojrzał na Marqueza, zastanawiając się, o czym też może myśleć, kiedy przygotowuje się do biegu pod ostrzałem. Może przypominał sobie twarze córek albo żałował, że nie przeleciał tych dziewczyn, na które miał ochotę. Może myślał o tych dwustu pięćdziesięciu tysiącach peset, które zarabiał na miesiąc, a może nie myślał o niczym.

Ekspłodował kolejny pocisk: czterdzieści dziewięć sekund. W powietrzu jeszcze latały ostatnie odłamki, kiedy Barles położył rękę na ramieniu Marqueza.

- Tam się widzimy - powiedział

- Tam, znaczy gdzie?

- Nie wiem. Tam.

Marquez zarechotał tym swoim śmiechem brzmiącym jak stara kołatka. Szybko wstali i rzucili się biegiem przez drogę.

Sarajewo, sierpień 1993

Mostar, luty 1994